

# ZYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1 sh

**RIMIFON, PYCAZIDE**  
1.000 tabl. Isonicotinic Acid Hydrasid £ 4.14.0  
10 gr. Streptomycyny £ 2.4.0  
CENY Z PRZESEYŁKĄ DO POLSKI  
W Y S Y Ł A  
**APTEKA GRABOWSKIEGO**  
187, Draycott Avenue, London, S. W. 3.  
Telefon: KENSINGTON 0750.

**MSZAŁ RZYMSKI**  
POLSKO-LACIŃSKI  
Opracowali Mniisi Opactwa w Tyńcu  
Wydawnictwo Opactwa św. Andrzeja w Brugach  
W opr. reksyna £ 1.16.6  
W opr. skór. bez złocen £ 2.13.7  
W opr. skór. ze złoceniami £ 3.2.2  
DO NABYCIA:  
VERITAS FOUNDATION PUBL. CENTRE  
12, Praed Mews, London, W. 2.

ROK VI.

Nr 33 (269)

LONDYN, 17 SIERPNIĄ 1952 R.

TADEUSZ FELSZTYN

## POWROTNA FALA SCJENTYZMU

### GENEZA SCJENTYZMU

Rozdźwięk między wiedzą a wiarą, rozpoczęty w epoce Renesansu, rosił w ciągu wieków, aż wreszcie doszedł do szczytu w połowie zeszłego stulecia. O ile przedtem uczone niewierzący byli raczej wyjątkami, o tyle potem uczone wierzący uchodzili za dziwaki. Jak to zwykle bywa ze sprawami ludzkimi, geneza tego stanu rzeczy leży nie tylko w pewnych faktach (obiektywnych, ale — bardziej może jeszcze — w przesłankach natury psychologicznej, na tle tych faktów zrodzonych.

W połowie zeszłego stulecia, mianowicie, poszczególne prawa naukowe poczęły zraszać się w jedną, harmonijną całość, prowadząc drogą kolejnych uogólnień ku kilku podstawowym zasadom, które zachwyceni swymi osiągnięciami uczeni uznali za podstawowe, niezruszalne prawa przyrody. A że wszystkie nowe odkrycia — przez cały nieomal XIX wiek — doskonalenie mieściły się w tych ramach, sądzono, że znaleziono nareszcie od tyłu wieków poszukiwany kamień filozoficzny, odkryto ostateczne tajniki natury, że więc tym samym gmach nauk przyrodniczych zdobył twardy fundament, którego nic już w przyszłości zmieni nie zdoła.

Ta дума z dokonanego odkrycia wzbudziła w duszach uczonych pychę. Zapomnieli oni o skromności wielkich swych poprzedników, Koperników i Newtonów, i poczęli się zachowywać jak dziecko, które wybrawszy się łódką na niezmierny ocean i doznawszy rozkoszy kołysania się na jego falach rzekło: „Oto poznałem już cały ocean; gdziekolwiek dalej popłynę, niczego nowego znaleźć nie potrafię”. Jak stwierdza C. L. Boltz („A Statue to Mr. Trattles”, Londyn, 1952) „uczeni zeszłego stulecia sądzili, że mają odpowiedź na wszystkie pytania... był to dogmat, w który nikt o zdrowych zmysłach wątpić nie mógł”. Skoro zaś uzyskano te światła, niki jedynie za pomocą rozumu, wierzone niezachowanie, że nie masz na świecie niczego, czego by rozum ludzki nie doszedł. I — rzecz ciekawa — im bardziej sądzono, że nyciś cokolwiek — to nic innego, niż tylko wyraz zmian drobinowych zachodzących w mózgu (jak głosił T. H. Huxley w odczyty wygłoszonym w 1860 roku), tym usilniej wierzone, że te zmiany drobinowe wystarczają w zupełności na to, aby poznać najgłębsze tajniki bytu.

Na tle tego przeświadczenia zrodził się niechętny, więcej, pogardliwy stosunek do wiary. Skoro bowiem — jak trafnie przedstawia to rozumowanie F. Sherwood Taylor („Man and Matter”, Londyn, 1952, str. 12) — pismo święte głosi twierdzenia sprzeczne z niezmiennymi prawami nauk przyrodniczych, jest ono nieprawdziwe w niektórych swych szczegółach, a tym samym niewiarygodne w reszcie. Należy je przeto odrzucić.

Zapewne, nikt z uczonych owej epoki nie mógł zaprzeczyć, że we wszystkich dziedzinach nauk przyrodniczych istnieją luki, pytania nierozstrzygnięte, zagadki. Wierzone jednak dogmatycznie, że dalszy rozwój nauki luki te wypełni zgodnie z „podstawowymi prawami przyrody” — takimi, jak je wtedy znano i że tym samym raz zbudowany gmach wiedzy rosnąć będzie niby wieża Babel, wznosząc na niezniszczalnej opiece w wieku XIX odkrytych fundamentów.

### I GMACH ZAWALIŁ SIĘ OD PODSTAW

Rzeczywistość jednak nie potwierdziła tej pysznej wiary. Dalszy rozwój nauki bowiem nie tylko rozwałił wnioski, jakie na gruncie owych „niewzruszonych praw” budowano, ale — co więcej — dobierał się do samych tych podstaw, przeobrażając całościowe przyrodniczy pogląd na świat.

Niesposób w artykule omówić całości tych przemian. Po bliższe

dane odsyłam do swojej broszury „Zmierzch materializmu w naukach przyrodniczych” (Londyn, 1952). Tu chciałbym jedynie nasykować kilka problemów zasadniczych, tych mianowicie, które w zeszłym stuleciu stanowiły poczki najczęściej kalibru, wymierzone przeciw naukom Kościoła.

Przede wszystkim materia, ta materia, o której sądzono, że jest czymś trwałym, niezmiennym, jedyną na świecie rzeczywistością, coraz bardziej zatracza swą materialność, do tego stopnia, że dziś nie można już elementarnej jej cząsteczki przypisać ani trwałego istnienia, ani bytu niezależnego od obserwatora\*, ani nawet indywidualności. Doszło do tego, że dziś fizyki (jak np. Schroedinger, „Science and Humanism”, Londyn, 1951) i biologowie (np. J. Z. Young, „The Listener” z 14. 12. 1950) przedstawiają cechę indywidualności, którą zajmują się ich nauki, widzą nie w tworzącej się materii, lecz w ich organizacji, a więc w tym, co tożym nazywa „formą”.

Równocześnie, w przeciwieństwie do poglądów, wypowiedzianych jeszcze w 1911 roku przez uczynego szwedzkiego Svante Arrheniusa, że „pogląd, iż coś może powstać z niczego, jest sprzeczny z dzisiejszym stanem nauki”, nauka nowoczesna nie może sobie wyobrazić obecnego stanu wszechświata inaczej, niż przyjmując, że musiał istnieć jakiś jego początek.\*\* Nawet w głosnej, choć na mocno dowolnych przesłankach opartej teorii Hoyle'a, ten wszechświat, w którym my żyjemy, został stworzony, choć twórcą — wedle Hoyle'a — nastąpić musiało nie w jednej chwili, lecz trwało miliony lat.

Determinizm, który pozornie stwarzał nieprzekraczalną barierę wolnej woli i ingerencji Bożej w sprawy tego świata, został ostatecznie obalony i to tak dalece, że ci nawet z fizyków, którzy tęsknią do jego powrotu, nie potrafią znaleźć w fizyce niczego, co by dążeń ich potwierdzało. I choć ścisły indeterminizm panuje jedynie w fizyce elementarnych cząsteczek materii (mikrofizyce), tym nie mniej fakt ten decyduje o tym, że również i zjawiska makrofizyczne, zjawiska świata dostępnego naszym zmysłom i naszym instrumentom, nie są w pełni zdeterminowane. Można sobie nawet pomyśleć doświadczenia, które by tezę tę potwierdziły. Wyobraźmy sobie licznik Geigera, w którym zamknięto jeden, tylko jeden, atom fosforu 32, o półokresie rozpadu 14,3 dni. Zgodnie z prawami promieniotwórczości odpowiedź na pytanie, kiedy atom ten się rozpadnie, jest absolutnie niezdeterminowana. Może to być za pół sekundy, lub za rok. To, co prawa fizyki mówią, to tylko, że istnieje równa szansa, iż rozpad nastąpi przed okresem 14,3 dni, jak i że nastąpi po tym czasie. Jeżeli więc taki licznik począł przy pomocy szeregu wzmacniaczy z odpowiednią instalacją wybuchową, rozpad atomu może wywołać, co ciekawo, nawet wysadzenie szczytu Mont Blanc w powietrze. Kiedy jednak to wysadzenie nastąpi (i czy w ogóle nastąpi, jeśli zastosujemy dodatkowe urządzenie, automatycznie wyłaczające licznik po upływie, powiedzmy, dziesięciu dni) jest zupełnie niezdeterminowane. Tym samym indeterminizm zjawisk mikrofizyki pociąga za sobą i częściowy indeterminizm zjawisk w makrofizyce.

Zupełna oddzielenność praw mikrofizyki powoduje, że choć umysł ludzki potrafi je — zgodnie z teząmi realizmu tomistycznego — zrozumieć przy pomocy wzorów matematycznych, nie potrafi jednak ich sobie wyobrazić. Tym samym tak ulubione dotąd modele, jakimi posługują się fizyki, nie mogą nigdy wyczerpać całości najelementarniejszego nawet zjawiska. Wy-

\* W fizycznym, a nie metafizycznym tego słowa znaczeniu.  
\*\* Por. Papież Pius XII: „Dowody istnienia Boga”, Veritas, Londyn, 1952.

kazuje to — mówi Born — („Physics and Metaphysics”, „Science News”, nr 17 — że „nawet w ograniczonym polu opisanie całego systemu przy pomocy jednego obrazu jest niemożliwością. Do tego trzeba wzajemnie uzupełniających się obrazów, których, co prawda, nie można stosować jednocześnie, które jednak w rzeczywistości nie przeczą sobie, lecz wyczerpują całą rzeczywistość nie oddzielnie, lecz wspólnie”. Cóż to za cios dla filozofii monistycznej, która myślała, że z nauk przyrodniczych czerpie swe soki!

Stwierdzenie, że zjawiska fizyczne nie przebiegają w ciałach żywych tak samo, jak w przyrodzie martwej, że różnią się one stałym budowaniem form wyżej uporządkowanych, nieustanną wymianą atomów z otoczeniem i częstokroć innym przebiegiem niektórych procesów fizycznych (jak np. osmoza) w wypadku, gdy dana biona żyje, lub też gdy jest martwa, a wreszcie fakt istnienia kryształów proteiny, które niczym nie różnią się od podobnych protein w ciałach żywych są jednak martwe — wszystko to wskazuje na to, że proste sprowadzanie życia do „właściwości ciał białkowych”, jak to chcieli czynić w ubiegłym stuleciu, nie jest możliwe. I w miarę jak poznajemy bliżej przejawy ciał żywych, tajemnica życia nie tylko się nie rozjaśnia, ale — na odwrót — pogłębia.

wreszcie epifenomenalizm, twierdzenie, że myśl jest tylko objawem zmian fizyko-chemicznych zachodzących w mózgu człowieka, choć ciągle jeszcze ma wielu zwolenników, stał się dziś raczej aktem wiary niż tezą naukową. Nie ma bowiem w nauce niczego, co by go potwierdzić mogło. Jak twierdził niedawno zmarły, wybitny angielski specjalista systemu nerwowego, C. Sherrington („The Listener” z 2.3. 1952) „myśl i fizjologiczne reakcje w mózgu pozostają nadal uparcie odrębne. Dochodzi do tego przeświadczenia, że są to zjawiska całkowicie odmiennie i nie dające się wytłumaczyć jedne drugimi.” Jak słusznie bowiem mówi F. S. Taylor (l. c. str. 38), można doskonale wytłumaczyć cały mechanizm dalekierowanego samolotu przy pomocy fizyki i chemii, kursu jego jednak żadną z tych nauk wyjaśnić nie jest w stanie.

Co więcej, naukowo dziś już stwierdzone zjawiska telepatii, jasnowidzenia i pokonywania myśli ludzką przestrzeni i czasu są najbliższym argumentem przeciw materialistycznemu pogładowi na istotę myśli.

### ZGŁA BOHDANOWICZOWA

## Dzwonek kapliczny

Perła za perłą, kropla za kroplą —

Po źdźbłe się stoja, o liść się oprą;

Poranne rosy, dźwięku odgłosy,

Opary miodne,

Sloneczne glosy,

Strugi pogodne.

Brylant i szafir, topaz i rubin:

Deszczem — w stokrólki, a tęcza — w łubin!

W różę rozpięte, w nasturcję zgięte —

Garsnią opali;

W trawy niezgęte —

Rozpryskiem fali.

Blaskiem kolistym w powietrzu cięhym,

Rozkołysanym lili kielichem,

Jaskółczym kołem, przelotem pszczoły,

Srebrną hosanną —

Leżą anioły

Na mszcy poranną...

### PRÓBY WSKRZESZENIA UPIORÓW PRZESZŁOŚCI

Jak więc widzimy, po latach błędnej nauki wróciła na podwórko wiary, obalając wszystkie przeszkody, jakie pycha ludzka stawiała dawniej naukom Kościoła.

Czyż mamy z tego powodu spiewać radośnie „Te Deum” dziękując, że „wiedza potwierdziła prawdy wiary”, lub czy mamy zabijać tuznego ciela na powrot syna marnotrawnego?

Nie sądzę. Raczej podziwiać należy Opactwo, iż tak pokierowała rozwojem myśli naukowej, aby ślepy nawet jasne stało, jak głupie są prawdy ludzkie, a jak madre są Prawdy Boże.

I czas jakiś zdawać się mogło, że nauka i te poszukiwania. Prace uczonych takich, jak Jeans i Eddington, choć nie z wszystkimi ich wnioskami można by było się zgodzić, pełne są jednak skromności, znakomiciej prawdziwego uczonego — i zrozumienia, że metody nauk przyrodniczych, choć pozwalają nam poznać i zrozumieć wiele tajemnic bytu, dalekie są jednak od tego, aby zdolne były wszystkie tajniki jego wyjaśnić.

Po krótkim okresie jednak, gdy zdawać się mogło, że nauka wróciła na swe tory i zgodnie odtąd będzie z wiara, nastąpił gwałtowny nawrót do dawnych błędów. Nie mówię tu oczywiście o nauce za żelazną kurtyną, bo ona w ogóle na miarę nauki nie zasługuje operację skostniałymi, spręż stę laf dającymi się tezami i doktrynami, lecz o pracach uczonych w wolnym świecie. Coraz częściej widać u nich, zwłaszcza gdy przemawiają do szerokiej publiczności, dumną pozę uczonych zeszłego stulecia, przeswadczone, że jedynie nauki przyrodnicze są nosicielkami prawdy i że tylko one mogą wskazać człowiekowi, jak ma żyć i postępować.

Jeżeli zastanówimy się nad tym, dlaczego dziś, gdy niedawne doświadczenia wykazały, jak kruche i krótkotrwałe są „prawdy naukowe”, a szeroki rozwój epistemologii (teorii poznania) wyjaśniając ich losowe podstawy, wyraźnie wytyczył ich zakres, tak wielu uczonych zapomina o tych naukach — to odpowiedź znaleźć możemy przede wszystkim w braku horyzontów, tragicznym owocem zbyt wczesnej specjalizacji, a nadto w powierzchniowości tych uczonych, skłonnych owyściągania dalekośćnych wniosków z jakże niedostatecznych przesłanek, w ich pysze i nieraz i niesumiennosci.

Aby wykazać słuszność tego twierdzenia, można by cytować

przykładów bez liku. Wystarczy wziąć co najmniej co drugą angielską popularną książkę naukową, lub każdy niemal naukowy odczyt radiowy. Z tego więc obfitego materiału pozwolę sobie zaczerpnąć dwa przykłady, jeden — bardzo dziś popularnego astronoma, drugi — mniej może znanego, lecz nie mniej typowego genetyka.

### „NOWE IDEE” BIOLOGA

Zacznijmy od drugiego. W odczytach radiowym „The Coming of Heredity” („The Listener” z 3. 1. 1952) C. D. Darlington stara się wykazać, jak decydującą rolę w życiu człowieka odgrywają cechy przezeń odziedziczone. Prześlanki dowodowe prelegenta są niezmiernie skromne. Są to jedynie studia nad identycznymi bliźniakami (pochodzącymi z wczesnego rozszczepienia się jaja w łonie matki na niezależne pólwy), przeprowadzone w Niemczech przez prof. Inge'go na podstawie policyjnych zapisków dotyczących popełnionych przestępstw! Badania te — jak stwierdza Darlington — „choć bynajmniej nie zupełnie dobrze opisane, wykazują, że gdy jedno z bliźniat popełniło przestępstwo, drugie — z nielicznymi wyjątkami — popełni je również, przy czym typ czynu przestępczego jest podobny”.

Przesłanki, jak widzimy, mocno chwiejne. Ani dobry opis, ani reguła bez wyjątków! Jako materiał dowodowy wybrano jednostki przestępcze, a więc jednostki, u których niewątpliwie wola nie panuje należycie nad cechami wrodzonymi. A jednak wśród tych jednostek, jak stwierdza autor, „gdy kryminalista o swojszej woli pobiera nieprzestępczą zonę, zbrodniczość ustaje”, a więc i u nich wola może panować nad naturą. Ponadto, czego autor nie podaje, lecz czego nie może nie powiedzieć, ani wszystkie cechy fizyczne\*, ani charakteryzujący pracę mózgu tzw. rytm alfa elektrycznych prądów mózgowych\*\* nie są u identycznych bliźniat bynajmniej zupełnie identyczne, przy czym w zakresie znacznie ważniejszego rytmu alfa różnice te są nawet istotne. A jednak ani ta niekompletność i niepełność przesłanek, ani też wspomniane wyżej braki identyczności nie mogą powstrzymać autora od wypowiedzenia jakże śmiałej tezy, że przyszłe pokolenia Anglii „są w swym charakterze całkowicie zdeterminowane przez milion dwieście tysięcy chromosomów”, co więcej, głoszenia z emfazą, że „zrozumienie, jakie uzyskujemy dzięki tym teoriom, jest zaiste rewolucyjne. Idee te są nowsze, bardziej istotne, niż wielkie prądy ideologiczne, jakie dziś dzieli ludzkość, a więc katolicki, liberalny i marksistowski punkt widzenia. I obalają one wszystkie te ideologie”.

I to wszystko, na podstawie materiału dowodowego jakże niepełnego, wątpliwego, sprzecznego w sobie!

### „NOWA KOSMOLOGIA”

Jeszcze bardziej charakterystycznym przykładem jest Hoyle, który w roku ubiegłym tyle narobił szumu swą „nową kosmologią”, wyłożoną w książce „The Nature of Universe” (Oxford, 1950). Kilka fragmentów z niej wystarczy, aby uświadomić, że jak dowolnych, naciąganych przesłanek wysnuwa Hoyle swe wnioski. Chcąc wykazać, że życie jest czymś we wszechświecie powszechnym, twierdzi on w pierwej, że muszą istnieć we wszechświecie liczne gwiazdy mające planety. Jakkolwiek astronomia nie ma dziś jeszcze środków na to, aby móc dać pozytywną lub negatywną odpowiedź na to pytanie, jakkolwiek nikt dotąd nie dał ogólnej hipotezy i wszystkie zjawiska wyjaśniającej teorii powstania naszego układu słonecznego, autor nie waha się, opierając się na swej własnej hipotezie, mocno zresztą krytykowanej przez innych astro-

\* John Hancock „Identical Twins in Dairy Cattle”, „Science News”, nr 21.

\*\* Dr Grey Walter: „Patterns in Your Head”, „Discovery”, luty 1952.

(Dokończenie na str. 4)

Zofia Bohdanowiczowa

# ZAPISKI LONDYŃSKIE

MICHAŁ PAWLIKOWSKI

## ZMIERZCH MATERIALIZMU W NAUKACH PRZYRODNICZYCH

RZEKOME MILIONY KALIKSTA ORZESKI  
KSIĘCIA ORATINO

Prasa angielska i włoska podaje wiadomości o roszczeniach, jakie przedstawiciele różnych arystokratycznych rodzin włoskich zgłosili do spadku po Kalikście Orzesko, księdzu Oratino. Spadek ten miał być jakoby wart 420 milionów funtów szterlingów, a więc sumę wręcz fantastyczną.

Kalikst Orzesko — jak podaje „Daily Telegraph” — urodził się w Belgii jako syn Kaliksta Orzeski, marszałka szlachty Ziemi Grodzkiej (i, dodajmy od siebie, niewątpliwie biskupa krewnego mecia piaski polskiej Elisy Orzeskowej). Został adoptowany przez włoskiego księcia Giordano i przybrał tytuł księcia Oratino. Pełne jego nazwisko brzmiało — znów wedle „Daily Telegraphu” — Kalikst Henryk Antoni Korab Orzesko Czarnouski (?) Giordano, książę Oratino, Orzesko zamieszkał w Anglii i miał tu dwie siedziby: jedną w Queenshithe, Monumentreea Weybridge, w Surrey i drugą w Londynie przy Jermy Street, w Anglii też zmarł w r. 1915, pozostawiając po sobie trzystronicowy testament.

W testamencie tym postanowił, że jego większą posiadłość ma przejąć na najmłodszego syna, liczącego poniżej lat dziesięciu i niosącego nazwisko Orzesko. Warunkiem uzyskania zapłaty było, że chłopiec ten wychowany być powinien w Eton, Harrow, Winccesterze lub Wellingtonie, później zaś w „Eskort” lub Cambridge. Powinno ono natomiast wstąpić do armii brytyjskiej, albo do sztabu inżynierskiej służby brytyjskiej, bądź też obrać sobie jeden z „wyższych” zawodów.

Ponieważ nikt tym warunkom nie odpowiadał, sprawa poszła do „High Court” — i w wyniku wartości majątku podzielona została między pięć osób, zgłaszających roszczenia. Osoby te — jak ogólnikowo stwierdza reporter „Daily Telegraphu” — są „pochodzenia wschodnio-europejskiego”.

Ni stąd, ni ząd — tak przynajmniej twierdzi ten dziennik — sprawę podniośła teraz prasa włoska, nawiązując do obwieszczenia „London Gazette” z 4. 10. lipca 1925 r., wzywającego do zgłaszania roszczeń. Sprawę zainteresowało się włoskie ministerstwo spraw zagranicznych, które poleciło swęj ambasadzie londyńskiej przeprowadzić odpowiednie badania.

Reporter dziennika londyńskiego również sam rzecz zbadał i dowiedział się, że wartości majątku księcia Oratino ułasniona została w r. 1915 do 34.708.315 s. 5, co stanowi zaledwie drobny ułamek rzekomej sumy 420 milionów funtów. Po potrąceniu pozostała suma 30.000 funtów rozdzielona została w latach 1924 i 1925 między pięć osób w odpowiednich częściach, które zgłosiły roszczenia. W urzędzie kuratorskim (Public Trustee's Office) oświadczono, że nie więcej ze spadku nie pozostało.

Mimo to, jak donosi rzymski korespondent „Daily Telegraphu”, przedstawiciele stron zgłaszających roszczenia, dr della Ratta z Neapoli, zapowiadają dalsze dochodzenia w tej sprawie.

### CIĄGŁE KRADZIEŻE W MUZEACH

Nie ma prawie miesiąca, by prasa nie donosiła o jakiejś nowej kradzieży w jednym z muzeów londyńskich czy prowincjonalnych. Ostatnio z Narodowego Muzeum Morskiego (National Maritime Museum) w Greenwichu zniknęła osobna złota skrzynka, ofiarowana w r. 1740 admirałowi Vernon, kiedy mu na dane honorowe obywałostwo „Freedom” miasta Londynu. Złodziei wyjął skrzynkę ze szklanego gabloty, bez uszkodzenia tej gabloty; kradzież popełniona została w porze obiadowej.

Wartość skrzynki jako zabytku narodowego oceniana jest na 2.000 funtów. Dzienniki podały fotografie ukradzionej skrzynki, przy pominięciu zarzemu, że w ciągu roku ubiegłego z tego samego muzeum ukradzione zostały, w parowiecznym odstępie, dwa cenne zabytki, związane z osobą admirała Nelsona, zwiędzły spod Trafalgaru.

Sprawa poruszona została w Izbie Gmin, gdzie poseł Wyatt podkreślił, że personel muzeów jest liczebnie za mały, by skutecznie przeciwdziałać złodziejstwu.

### Z DZIAŁALNOŚCI PEN-KLUBU

„Pen-Club, Centre of Writers in Exile” delegalowo oficjalnie Gerda Heibmae i G. I. Schopflina na XIV Kongres Pen-Klubów w Nizeli, który odbył się w dniach 14—19 czerwca br. Poza delegatami byli na nim obecni m. in. Stanisław Baliński, Robert Kenedy, Antonio de Soto i Celina Wieniewska.

Członkowie Centrum spotkali się z serdecznym przyjęciem i życzliwością. Był to, od czasu jego ratyfikowania w Lozannie, pierwszy kongres, w którym Centrum bierze udział.

W pierwszym dniu obrad, otwartym przez André Mauris, Robert Kenedy przedstawił sprawę pisarza na uchodźstwie i szczególnie młodego pisarza w Jego wysiłkach nad pełnym literackim opaniem jednego z języków światowych.

18 czerwca, w czasie omawiania spraw finansowych, poruszono kwestię „Funduszu Wolności Intelektualnej”.

W 1950 r. z inicjatywy Artura Koestlera grupa znanych autorów: John Dos Passos, James T. Farrell, Graham Greene, Aldous Huxley, Arthur Koestler, Richard Rövere, Budd Schulberg, Stephen Spender — wystąpiła z projektem stworzenia „Funduszu Wolności Intelektualnej” zobowiązując się oddawać co pięć procent dochodów pisarskich na cel tego funduszu. Pieniądze tak uzyskane miałyby otrzymywać pisarze na uchodźstwie jako pomoc. Zarządzanie tym funduszem obecnie zostało zaproponowane Międzynarodowemu Pen-Klubowi.

W dyskusji kilku delegatów podniosła zastrzeżenie, że fundusz ten może podlegać sądzie apolityczności Pen-Klubów. Głosowanie, 18 głosów „za”, 6 wstrzymujących się, bez głosów sprzeciwu, oddało administrację funduszem w ręce „Centre of Writers in Exile”.

Przedstawiciel UNESCO, Vitoro Branco, ogłosił, że UNESCO pragnie ustanowić dziesięć stypendiów po 6.000 dolarów w celu ogłoszenia międzynarodowej współpracy kulturalnej. Bliższe szczegóły będą podane niedługo. Tak zebrałowie jak i nie-członkowie Pen-Klubu będą mogli się o te stypendia ubiegać. UNESCO pragnie również płacić przekłady na francuski, angielski i hiszpański dzieł pisanych w językach mniej znanych.

Konferencja UNESCO poświęcona zagadnieniu kultury europejskiej, odbędzie się 22 września w Wenecji. Międzynarodowy Pen-Klub wysłał 10 delegatów. Znana pisarka polska, Maria Kuncewiczowa, została zaproszona na tę konferencję.

s. L.

Związany z dziejami Europy starożytnej Wschód, którego znanymi najdawniej cywilizacje, był kolebką materialistycznego poglądu na świat.

Przyczyny tego tkwiły zarówno w tamtejszych stosunkach ustrojowych, opartych na kulcie siły i zlekceważeniu duchowej osobowości jednostki, jak gospodarczych, związanych z istnieniem pierwszych wielkich metropolii handlowych w urbanistycznych wiozach Mezopotamii, Pendżabu, a po części i Egiptu. Zupełnie odmienny był charakter przedaleksandryjskiej Europy z rozkwitami po połowie I tysiąclecia ogniskami cywilizacyjnymi Aten i Rzymu. Charakterowi temu odpowiadało tylko w Iranie krótkie echo Zenda Westy, zdławione przez stare podyktownie.

Ludzie tego wschodniego świata, z wyjątkiem uprzywilejowanych wtajemniczonych, którymi byli zazwyczaj kapłani, nie mieli głębszego wyobrażenia o prawach przyrody i dlatego wszelkie zjawiska, których wytmaczyć sobie nie umieli, uważali za nadprzyrodzone. Pochodzący oni — wedle ich pojęć — z dzieł bóstw i demonów lokalnych, działali nie tyle metafizycznie, ile „fizyczno-metfizycznie”, jeśli by tak można określić ich zakres umiejętności tych bóstw, ich sztuk i sztuczek prestidigitatorskich, nie dających się sprawdzić przez zmysły człowieka.

Były to zatem czasy wiary w nadprzyrodzoną, ale w nadprzyrodzoną materialistyczną, innej bowiem kapłani ani nie chcieli, ani nie potrafili zaszczepić, sami bardziej sceptycznie i materialistycznie usposobieni aniżeli ich owieczki. Bogom zatem, których ich materialne figury nie tylko wyobrażały, ale w które to figury, widzialne czy chowane za zasłonami, byli oni wcieleni, trzeba się było okopywać i zyskiwać sobie ich względy materialną służbą i zarobczości, interesem i ambicją. Nie można ich było uprosić, można się było tylko oplacić.

Zanim z ośrodków europejskich, czyli „indoeuropejskich”, nie poczęła się wiara w jednego, sprawiedliwego Stwórcę nieba, ziemi i wszystkich ludzi, Boga, którego jedynym „interesem” było czynne i bierno dobrane duszy człowieka — światopogląd ludzi był czysto materialistyczny — a „transcendentalne” było w nim tylko to, czego nie rozumieeli i tylko dlatego ze nie rozumieeli. Ich procesy myślowe w stosunku do zjawisk życia były procesami oświecającymi z praktyki, z dedukcji przyrodnej, i ona to służyła ich ograniczonej celowości, ograniczonej do egocentrycznego, zamkniętego kręgu interesów jednostki, bardzo rzadko przekraczającego żywot doczesny.

Inny zupełnie obraz przedstawia Średniowiecze europejskie. Chrześcijaństwo zrewolucjonizowało świat przeciw indywidualistycznemu nstawianiu (które go od czasów aleksandryjskich zaczęło opanowywać) — przedstawiając mentalność człowieka na cel zewnętrzny, a to zarówno na metafizyczny Absolut, jako na sumę wszystkich celów, jak na hierarchiczną budowę tego celu przez szereg wstępnych celów wychodzących zawsze poza orbitę podmiotu. Ludzie zostali — jak mówi Stowacki — „w drodze w przyszłość obrócenia”. Można to określić jako hasło „nihil sine fine” wysunięte ponad hasło „nihil sine causa”. Wszystko stało się dlatego z e, tylko dlatego a b y.

Jezeli taka stała się koncepcja świata, to oczywiście u początku jego stać musiała jakaś wola nadrzędna, wola Stwórcy, tak samo najwyższego i nieograniczonego, jak najwyższy i nieograniczony był cel Jego dzieła. Ze zaś „najwyższe i nieograniczone” może być tylko jedno, przeto jedynym był Stwórca i cel: Jam jest alfa i omega, początek i koniec.

Światło rozbiły w Izraelu, ludzie pograniczonymi dwu światów i dwu cywilizacji, etnicznie niejednolitym, który po swoich przodkach indoeuropejskich odziedziczył był świadomość jednej prawdy, przeciw której buntowały się nieustannie jego semickie preliminaria cywilizacyjne, czego najmówniejszym odbiciem jest Pismo Święte (tak Starego, jak i Nowego Testamentu). Jemu to dane było, przy niestannym łamaniu się w jego wnętrzu duchowym z „Azją”, przygotowanie przyszłości Państwa i wydanie na świat Jego kształtu fizycznego. Chwila ta musiała się stać punktem krytycznym tej dwucelowości, tej walki dwu światów w duchu żydowskim, która nie stopiła się nigdy i nie mogła się stopić w syntezę, doprowadzając do najwzrostniejszego i najdramatyczniejszego starcia w dziejach ludzkości. I kiedy „Dobra Nowina” poszła z Zie-

mi Świętej na Zachód, w ślad za nią ruszyły także przedmioty kultury fizycznej, wspomagane przez inne prądy, od czasów hellenistycznych płynące z Azji.

Przyjrzymy się procesom rozwojowym obu stron, ograniczając się do tego, co nas w danym wypadku najbardziej interesuje.

1. Osaczona i zasypywana przez zamieć pierwiastków wschodnich, przebijają się ponad nie wielka, nowa cywilizacja łacińska, tworząca się dokoła Fościola rzymskiego. Prologiem symbolicznym now j ery jest walka św. Piotra z Szymonem Magiem. Z początku ogarnianiu mas przez nowy światopogląd towarzyszą jeszcze czad materialistycznego, zabobonu i walka o formy. Nie tak łatwo i szybko formuje się nowa mentalność zbiorowości, jak się przyjmuje doktryna. Nie od razu też nad formalizm litery wyzwala się absolutna wiara, niezależna od tego, co mogło być, albo nie być nadprzyrodzone, w niezachowanym przekonanym, że cała przyroda ze swymi najbardziej „autonomicznymi” cudownościami, zbadanymi i niezbadanymi, pochodzi od nadprzyrodzonego i służy nadprzyrodzonym celom — i że bez woli Stwórcy nie tylko nie grały ten przedziwny organizm natury w swoich nieskończonych rozmaitościach, ale że nawet dwa a dwa nie byłoby cztery. Ze bez niej także człowiek nie miałby wolnej woli, będącej instrumentem jego doskonalenia się — a wtedy działanie jego byłoby pod znakiem przyczyny, a nie celu.

2. Stary świat: Nadprzyrodzoną sprawdza się, jak przedtem, do tego co dla wiedzy ludzkiej było niezrozumiałe. Sztuki kapłanów azjatyckich, powołujących się na rozmaite siły, zastąpione zostały przez sztuki kabalistów, magów i okultystów, astrologów i alchemików, świadczących się nawet szatanem. Wszystko zaś, co stało się dostępne dla analitycznego rozumu ludzkiego, rosnącego w pychę w miarę wzdernia się w tajemnice przyrody, utrwalało sceptycyzm, dloremu żądna magia, oryginalna czy podrabiana, nie pozostawiała widoków transcendentalnych ze swoich materialistycznych założeń i w perspektywie swoich celów doraźnych.

Oba te światy ze swoimi dziedzictwami weszły w czas nowożytny. Świat stary, azjatycki — zostaliśmy przy tej nazwie, chociaż przestał on być geograficznie azjatyckim — szedł dalej swym torem rozwidlonym na szariatanerję i racjonalizm. Obydwa tomy miały materialistyczny punkt wyjścia. Wiek Oświeceniada daję nam szczególnie obraz płatania się obu tych szlaków.

Nauki przyrodnicze odkrywają tymczasem coraz to nowe przyczynny zjawisk natury. Encyklopedyści budują nie tyle fundamenty wielkiej syntezy, ile blok mieszkalny wiedzy i myśli ludzkiej, stopniowo odbierając grunt tej „nadprzyrodzoności”, która zerwała, jak dawniej, na ignorancję niewtajemniczonych. Ale duch ludzki, czy to czujący, że jest coś poza światem empirycznym, czy szukający czegoś więcej, choćby nawet złudzeń, daje pole reakcji „nadprzyrodzoności”, która rozbiła namiętno na terenie przez wiedzę jeszcze niezbadanym: okultyzm, spirytyzm, magnetyzm i mesmerizm. Z tych samych przyczyn pociąga go tajemniczy Wschód, mający ciągle nieprzerwana tradycję w tajnych związkach i w diasporze żydowskiej. Materiał tajemniczej wiedzy starożytnego Egiptu staje się szczególnie pociągającym. W połowie XVIII w. Zyd hiszpański Martinez Pasqualis zakłada sekte Illuministów, wraz ze swym wyznawcą St. Martinem, która pociąga głośnie metafizyki koła intelektualne. Ten prad, będący początkowo pod wpływem mistyki chrześcijańskiej, stacza się po latach w krancowy materializm i wchodzi w zdecydowany konflikt z Kościołem katolickim, stawiając jako program religijny „fizyczny-seksualny”, z organicznymi pierwiastkami Wschodu (Restif de la Bretonne). On też wpływa później na zbozenia romantyzmu, przede wszystkim niemieckiego. W lat dwadzieścia zaś po mariniastach budzi się wreszcie satanizm Illuminatów niemieckich, który daje porażkę rewolucji francuskiej.

Wyglądało to tak wszystko razem, jak zaniedbany zrab la u, w którym obok popróchniałych pni trzeźwości, kotuje się mroczne kłębowisko chwastów, tumiąc prącą się w górę ponad nie pienną sośnię wysokich myśli metafizyki katolickiej.

Takie są preliminarja wieki XIX. Rewolucja Francuska, a potem czasy napoleońskie pobudziły i zwichrzyły aktywność myślenia i spowodowały szukanie syntez obu struktur mentalnych, które doszły były do wysokiego nasilenia. A to, o ile korona każdego systemu samego dla siebie jest synteza, o tyle wszelkie próby syntez odmienne systemów doprowadzają do rozstroju. Niezmiernie ciekawym polem obserwacji tego jest mistyka francuska początku XIX w. kiedy u wielu mistyków obydwa pierwiastki mieszają się ze sobą w darennym dążeniu do chemicznego związku, sprowadzają w tych spegach paranoję i obłąkanie. Podobnych objawów nie widzimy u myślicieli zdecydowanie „łacińskiej” mentalności, a przede wszystkim u myślicieli katolickich. Jedną z takich ofiar fałszywej syntezy był ojciec pozytywizmu, August Comte. Comte także próbował budować religię bez Boga, opartą na przesłankach materialistycznych.

Równocześnie odkrycia i zużytkowanie sił przyrody wprowadzało coraz większe mechanizowanie życia zbiorowości i jednostki i największy wysiłek został skierowany ku wysięgowi konkurencji w zapokojeniu celów doraźnych. Myśl materialistyczna opanowywała pola nauk przyrodniczych w horyzontach pataskim, a koncepcje społeczne w kołach egocentrycznych interesów jednostek i klas.

Od czasów Lamarcka po Darwina rozwijają się odkrycia i koncepcje ewolucjonizmu przyrodniczego. Jest rzeczą ważną uślatenie faktu, że ewolucjonizm (w znaczeni nauki) sam przez się jest tylko dociekaniem prawdy przyrody — co w żadnym razie atakowane być nie może — i tak należy rozumieć słowa o nim emmykiki „Humanis Generis” — a to, czego niewątpliwie docieki, to stanowi równocześnie plus, a nie minus wiedzy o cudownym dziele Stwórcy. Terenem sporu i to sporu zasadniczego są dopiero wnioski, jakie kto — w tym wypadku jeden lub drugi typ myślenia — z tych faktów wyciąga. Nie ma tu czasu na szerokie egzegetyczne spraw. Na dowód jednak, że palnogeneza nie tylko nie musi być przyczyną materialistycznego poglądu na świat, ale przeciwnie, wystarczy fakt, jakie wnioski z jej przecucia wyciągnął Stowacki („Genezis z Duchu”). A wnioski te osnuje się na koncepcji celu i „duchowego doskonalenia się w drodze ku Absolutowi, drogą ofiary z życia, celu postawionego w myśli poety, kiedy ją nauka dopiero przezuwała. — Świerdzając to nie zagłębiał się w ocenę naukową, czy filozoficzną tej koncepcji. Mentalność typu „azjatyckiego” wyciągnęła z teorii ewolucji wnioski wprost odwrotne: — materialistycznej walki o byt, wysnute z racji przyrodniczych.

Jednym z charakterystycznych tonów romantyzmu — romantyzmu właściwego, rozkwitłego na gruncie niemieckim, jest szukanie kompensaty za rozuwanie się kulis tej zmysłowej „nadprzyrodzoności”, w fantazjach poetycznych. Wśród wzmagającego się materializmu Niemcy, od Lenaua po braci Grimm, odławdują ży zapadający się w przeszłość świat czarów, jeszcze... do poduszki. Rzezywistość ziemiska i nadprzyrodzoność rozbijają się coraz wyraźniej na dwoje: na prawdę i na nieprawdę... „Was in der Dichtung soll ewig leben, muss im Leben untergehen”. Tylko że ta wieczystość także kończy się na archiwum historii literatury Poetom niewierzącym wydaje się, że zastąpią wierzący jeszcze folklor i tak przejawiają jak bańki ludowe urodzona w prawdzie subiektywność. Romantyków niemieckich nie stać na prawdę, bo nie nie wiedzą o prawdziwej nadprzyrodzoności. Dla nich ich prawda jest prawdą teatralną.

A w życiu? W życiu tymczasem materializm, powołując się na rozum ludzki, rozpanoszył się zupełnie i zdawało się, że nie go już z pola nie spędzi. Marx, twórca materializmu dialektycznego, był pełnym tytułem „azjatyckim” i nie groziła mu już choroba syntezy jak Comte'owi. W połowie XIX w. zalegał świat ciężki namul pychy rozum, pierwszego grzechu upadłych aniołów. Dał temu wyraz Garcudue w „Hymnie do Szatanu” za czasów powiazań masońskich swojej młodości:

„Salute, o Satana, o Ribellione,  
O forza vindice della Ragione!  
Sacri a te salgono gli incensi e i voti,  
Hui vinto il Geova dei Sacerdoti”.

\*) Używam tego terminu jako zgodnego z systemem pojęć cywilizacji łacińskiej, t.j. tej, której początek dał Kościół rzymski. Używam go w braku innego. Nie należy go mieszać z innym terminem „łacińskość”.

Ale rozwój wypadków zdławił ten przedczesny okrzyk. Oto ponad pięćdziesiąt lat wspiął się i przedzierali bez wylechnienia uparci, zarliwi poszukiwacze prawdy, prawdziwej, jakiej nie znał duch „azjatycki”, przetwarzający ją z reguły na swój doraźny użytek. Aż wydobywszy się ponad gęszcz poznawania „poziomego” ujrzeli ponad sobą niebiosyżny szczyt, o którym już wiedzieli ludzie idący z drugiej strony, którzy słyszeli głos Objawienia. — A podniósłszy oczy upadli na kolana.

Kiedy sceptycyzm wiedzy materialistycznej, pracujący w horyzontie poziomu interesów doraźnych, obalał nadprzyrodzoną szariatanerję, wielka nauka oparta na linii pionowej, dociekająca przyczyn i celów, znalazła Boga nad światem i wolę Jego dająca początek Stwożeniu i tym samym na czoło wysunęła problem ostatniego celu. Tak się skończyła walka św. Piotra z Szymonem Magiem.

Ostatnie etapy tej drogi, w której przewodzi nie filozofia spekulatywna, ale fizyka, matki techniki służącej celom materialnym, opisuje w sposób fachowy praca dra T. Felsztyna, wydana świezo jako obszerne poszerzenie wykładu autora w Instytucie Kultury Polskiej w Londynie. („Zmierzech materializmu w naukach przyrodniczych” Veritas, 1950).

„Wszyscy fizycy — cytuje autor L. Stębbiga — którzy usiłowali budować filozofię w oparciu o wyniki swoich badań fizycznych, odrzucili kategorię materializmu i nie ma ani jednego, który by próbował w fizyce czerpać argumenty na jego rzecz”. I tak kończy: „Stojąc wyłącznie na gruncie faktów i nie wychodząc poza nie można stwierdzić, że rozwój nauk przyrodniczych obalil twierdzenie materializmu dialektycznego, jakoby teży jego były wynikiem nauk przyrodniczych i że, na odwrót, wykażal, iż stoją one w jaskrawej sprzeczności z dzisiejszym stanem tych nauk. Tym samym jednak, skoro materializm dialektyczny odrzuca wszelką metafizykę i za jedynie uzasadnione szły te uważa nauki przyrodnicze, jako jedyne nauki godne imienia, toż rozwój nauk przyrodniczych znalazł cios śmiertelny materializmowi dialektycznemu, leżąc filozoficznie, na której całą swą naukę opiera teoria leninizmu”.

Jeden z wybitnych fizyków nowoczesnych, Fantoppie, którego cytuje Felsztyn, wprowadza tezę istoty zjawisk rządzonech, zgodnie z tym co powiadałemu wyżej, celowością a nie przyczynowością. Odpowiada to też jedyne konstruktynę z punktu widzenia filozoficznego, mentalności celów zewnętrznych naszej, łacińskiej, cywilizacji.

Ale co z tego? Nie można się dziwić notorycznie zarozumiiałym zofaunom wschodnim, którzy dawno zbankrutowane teorie azjatyckiego typu rozbudowują w rzekomo coraz to nowe systemy, nie można by się dziwić nawet wielu takim z pomiędzy nas, łulaczy, którzy w domu nie mieli czasu na naukę, a na wygnaniu mało mają sposobności czegoś ważnego się dowiedzieć, zwłaszcza, że zaobserwowali się ciężką walką o chleb powszedni, ale niepojęty jest dla mnie obraz tego społeczeństwa, i to jego warstwy intelektualnej, które wydało największych, najbardziej świadomych prawdy fizyków i astronomów, Jeansa, Eddingtona, Whitkera i innych, a żyje, z mały mi wyjątkami, tak jakby żadnych wniosków z praw przez nich stwierdzonych nie umiało czy nie chciało wyciągnąć. Może by i umiało, ale nie chce. To jest właściwe słowo. Ale to nie jest objaw przypadkowy: Jesteśmy świadkami polityki chowania głowy w piasek, świadkami powszechnej niechęci do prawdy, zupełnego zamykania oczu na rzeczy nieprzyjemne i usu na przyszłość groźną katastrof, dla zadowolenia doraźnej, materialnej korzyści. Bezideowa, schyłkowa mentalność. Nigdy w najbardziej beznadziejnych czasach naukowego sceptycyzmu nie było tak zmaterializowanego społeczeństwa w Europie, jak dzisiejsze społeczeństwo łejsze, któremu powiedziano z pierwszej ręki prawdę o rzeczy ważniejszej niż interes, o rzeczy ważniejszej niż życie.

Bo czyżby to miał być symptom powszechnej degeneracji ludzkości, która nie jest w stanie znieść prawdy, ogarnąć ją ani myślą, ani wyobraźnią, ani sercem, ani nerwami... bo ta prawda jest już na nią za wielka — i po prostu dlatego człowiek zaczyna się rozchodzić z Bogiem?

Ale to już nie jest tematem tego artykułu.

# Z E Ś WI A T A KATOLICKIEGO

**Eksmisja saletynów w Polsce.** Klasztor saletynów w Rzeszowie uległ likwidacji. Dotyczy to zarówno klasztoru, jak nowicjatu i szkoły. Również drugi ośrodek tego samego zgromadzenia, a mianowicie klasztor w Dębowcu niedaleko Jasła, ulega powolnej likwidacji. W tej chwili w rozporządzeniu zakonników znajduje się tylko kaplica, całość zaś zabudowań klasztornych została odebrana i przeznaczona na świeckie cele.

**O zwiekszenie powołani kapłanów.** Nuncjusz apostolski w Boliwii, arcybiskup Sergio Pignedoli, zapowiedział utworzenie komitetu dla powołań kapłanów. Celem komitetu będzie budzić, we wszystkich warstwach społeczeństwa zrozumienie dla godności kapłaństwa. Obecnie w Boliwii jeden kapłan przypada na 7.459 mieszkańców.

**Kongres międzyamerykański.** W Buenos Aires we wrześniu odbędzie się międzyamerykański kongres sztuki religijnej i historii. Wezmą w nim udział historycy, archeolodowie, artyści i krytycy katolicki wielu krajów.

**Dar żołnierzy amerykańskich.** Żołnierze amerykańscy obozu Roeder w Austrii ofiarowali statwę Najświętszego Serca Jezusowego kościółowi Matki Boskiej w Siezenheim. Kościół zbudowany był w r. 1200, a odbudowany w r. 1500. Na odczyszczeniu było 175 żołnierzy.

**Prośby o kanonizację bł. Piusa X.** Wśród napływających wciąż próśb o kanonizację bł. Piusa X, „Osservatore Romano” omawia m.in. prośby polskie: ks. biskupa Józefa Gawliny w imieniu emigracji polskiej i Polaków obcych na Międzynarodowym Kongresie Eucharystycznym w Barcelonie. Ks. biskup Gawlina wymienia w swej prośbie szczególne powody wdzięczności narodu polskiego dla wielkiego Papieża, m.in. fakt, że bł. Pius X polecił w swoim imieniu ukoronować cudowny obraz Matki Boskiej w Częstochowie. Prezydent kongregacji benedyktyńskiej wraz z 6 innymi opatami motywował prośbę szczególnymi zasługami bł. Piusa X dla apostołatu liturgicznego.

**Księstwo Windsor na audyencji papieskiej.** Papież przyjął w Castel Gandolfo na prywatnej audyencji księcia Windsor z małżonką, przekazując życzenia dla angielskiej rodziny królewskiej i całego narodu angielskiego.

**Radio katolickie w Holandii.** Katolickie radio holenderskie (KRO) poświęciło w roku 1951 13.36% audycji sprawom religijnym. Radio pracowało ogółem 2.705 godzin. Liczba abonentów pisma wydawanego przez to radio przekroczyła 31 tysięcy.

**Nowoczesne apostołstwo.** Katolicy miasta przemysłowego Shizouka w Japonii zorganizowali się w celu wykazania w sposób praktyczny, czym jest katolicyzm. Stojący na czele tego ruchu o. Klemens Fontenau podzielił miasto na 12 części i do każdej z nich przydzielił grupę katolików, którzy organizują w teatrach i kinach przedstawienia o charakterze katolickim, przy czym po każdym przedstawieniu następuje dwie konferencje, jedna wygłoszona przez księdza, druga przez katolika świeckiego. Nowoczesny ten typ apostołstwa przyjmie się zapewne i w innych miastach japońskich i jest nadzieja, że zostanie zorganizowane katolickie centrum kineograficzne dla rozprowadzenia po kraju filmów katolickich.

**Kongres „Pax Romana”** Delegaci z 50 państw, w liczbie około 800 osób, przbędą na XXI Kongres „Pax Romana” do Kanady. Jak wiadom, członkami „Pax Romana” są katolickie organizacje akademickie, na polskiej emigracji „Veritas”, których zadaniem jest uchrześcijanienie uniwersytetów, jako ośrodków myśli ludzkiej szukającej rozwiązania problemów naukowych. Obecnie ruch ten liczy 82 organizacje studenckie i 46 organizacji osób, które ukonczyły już studia uniwersyteckie. Tegoroczny kongres (od 21 sierpnia do 1 września) zajmie się kapitałnym zagadnieniem roli uniwersytetu w dzisiejszych czasach. Idea uniwersytetu, uniwersytet a społeczeństwo, uniwersytet a państwo, uniwersytet a międzynarodowa społeczność, uniwersytet a Kościół — oto problemy, nad którymi będzie radzić organizacja, która ma za swój cel odbudowanie chrześcijańskiej cywilizacji i kultury przez uchrześcijanienie uniwersytetu i szerzenie ich uniwersytetach i społeczeństwach chrześcijańskiej myśli przez apostołstwo intelektualne.

**Ze względu na dobro ogólne.** Zarząd miasta Esslingen w Württembergi zażądał od sprzedawców gazet, pod groźbą odmówienia wynajmu kiosków, niesprzedawania pism pornograficznych. Skargę redakcyjnych tych pism o wprowadzenie nielegalnej cenzury odrzucił sąd w Stuttgartu, motywując swą decyzję względami na dobro ogólne.

Michał Pawlikowski

Motto:  
„Bronię Polaków przed Polską.”  
(Gombrowicz)

WIT TARNAWSKI

# BRONIĘ GOMBROWICZA PRZED GOMBROWICZEM

GODZĘ SIĘ pod wieloma względami ze zdaniem Sambora Gombrowiczu, wypowiedzianym przezeń w artykule „Gombrowicz dla wszystkich” (29 nr ZYCIA). Godzę się, że „jest to jeden z najważniejszych pisarzy, jakich dziś mamy i że „Trans-atlantyk”, to utwór najbardziej patriotyczny i najodważniejszy, jaki Gombrowicz kiedykolwiek napisał.”

Wiem więcej: jeśli miałem we współczesnej literaturze emigracyjnej wskazać utwor, który by polem, szerokością problematyki, smiałą iorną artystyczną przypominał twory wielkiej epoki romantycznej — wskazywałbym bez wania na „Trans-atlantyk”. Nie nagrodzony dotąd żadną z sypanych się tak obficie nagród literackich, Gombrowicz będzie może czytany, gdy o niejedynej z tych nagród pamięć zaginie.

Wreszcie godzę się z Samborem, że twory Gombrowicza zastępują na poważny stosunek mimo ich zarobkowej z pozoru i dziwaraciej roriny.

Nie godzę się natomiast, aby braci równie poważnie, a przynajmniej dostojnie, wypowiedzi i pouczenia tego pisarza — jak to czyni Sambor we wspomnianym artykule „Gombrowicz dla wszystkich”. Gombrowicz, głęboko poważny w swoich najbardziej szalonych groteskach, nie zawsze bywa równie poważny w swych najpowważniejszych wypowiedziach i najbardziej odciecznych oświadczeniach. Może nawet przygląda się od nieraz filuternie spod oka czytelnikom, którzy ze zmarszczeniem czołem bledzą się nad zrozumieniem jego pouczeń. Dlatego też komentowanie publicystycznych wystąpień Gombrowicza bez uwzględnienia jego utworów — jak to czyni Sambor — wydaje mi się niekompletne i nie bardzo celowe. Zniekształca ono w moim pojęciu samego Gombrowicza i nie ukazuje wszystkich aspektów jego myśli.

Pragnę zatem — po przeprowadzeniu obrony twórcy „Trans-atlantyku” przez Sambora — obronić z kolei Gombrowicza przed jego ooroną. Co więcej, przyjdzie mi bronić Gombrowicza przed nim samym, Gombrowicza pełnego i wszechstronnego przed Gombrowiczem uproszczonym.

Jakaz jest, ujmując krótko, teza głoszona przez Gombrowicza (w artykule), którą Sambor pragnie odpowiednio emigracyjnej rzeszy? Składam ją z samych prawie cytat — wpliwz z artykułu Sambora, potem — Gombrowicza. Sambor: — Losy Polaka są znacznie ściślej związane z ojczyzną, niż losy jednostek należących do innych, szcześliwszych narodów. Wiele naszych indywidualnych dążeń musiało się podporządkować nakazom zbiorowości. Nie możemy rozwijać często naszych talentów czy wiedzy zawodowej, zbyt wiele bowiem narzyliśmy się pocniantu służba ojczyźnie. Tą drogą tragiczną i nienormálna historia Polski musi odciecz się niekorzystnie na życiu i charakterze Polaków. Może by więc należało rozluźnić zależność Polaków od Polski, która paraliżuje, krępuje i hamuje: Polska składa się z Polaków. Im silniejszy i zdolniejszy do życia będzie Polak — tym żywniejsza, silniejsza stanie się Polska.

Sambor przytacza dla zobrazowania tezy przykład Judyta, który mógłby zostać wybitnym lekarzem, Curie-Skłodowska, która nie odkryłaby radu bez opuszczenia Polski, i Conrada, którego niepolska sława jednak w koncu Polsce się przydała.

Gombrowicz: — Musimy oderwać się uczuciowo i intelektualnie od Polski, po to, by uzyskać w stosunku do niej większą swobodę działania, aby moc ją stworzać. Polska jest tworem niedoskonałym, słabym i zartym wszelkimi jadami słabości, zniekształconym i zgwałconym. Czy wobec tego, jeżeli Polak pragnie być człowiekiem pełnowartościowym, nie powinien wypowiedzieć służby tej polskości, która go dzisiaj określa? Wielu ludzi, których narody brną z katastrofą, w katastrofe, zaczyna dzisiaj rozumieć, że naród to coś niebezpiecznego, przed czym należy się mieć na baczności.

Wreszcie: — Cóż to jest Polska? To nasze życie zbiorowe tak jak ono urobiło się w ciągu wieków. I z tym trzeba zerwać, trzeba obronić Polaków przed Polską.

Jak widzieliśmy, mimo że tekst pierwszy miał być tylko uprzestępieniem drugiego, różnica między nimi jest bardzo istotna. Sambor sam określił, na czym polegało jego przyprowadzenie Gombrowicza dla wszystkich. Obwarował go zastrzeżeniami i pytankami, „przyliżał”. Zamienił apel powszechny na wskazania w poszczególne wypadki. Odebrał wezwaniu Gombrowicza jego niepokojącą zasadniczość. Przystrzyżł grzywe Iwu.

Nie wiem, czy stało się dobrze. W ostrożnej adaptacji Sambora istota apelu Gombrowicza nie budzi odporu, uchochdi niemal uwagi. Ale bodajże tak samo wnika w głąb i zalega się w duszy — omlając ty-

ko jej strażę. Gombrowicz dla siebie — nie dla wszystkich — jest stanowczo zdrowszy. Wie się przynajmniej od razu, o co chodzi.

Ala przyjrzyjmy się samej sprawie: Odwieczny to polski dramat, że wiele wartości i sił ludzkich zużywa się u nas na pniu, by zaradzić do różnym i niecierpiącym zwoiki potrzebom. Niemniejszy smok — że szereg wad narodowych przenosi się z pokolenia w pokolenie, że błędy ojców powtarzają synowie, że niczego z najcieńszych doświadczeń nie umiemy się uczyć.

Toteż rozumiem doskonale pragnienie Gombrowicza i jego popularyzatora, by postawić temu zapórę — zwłaszcza po ostatniej, najcięższej z dotychczasowych lekcji dziejowych. Polska zna dobrze takie pragnienia. Czyż nie wzdychał Zeronki u progu naszej krótkiej niepodległości, by pisarz polski mógł nareszcie wyzwolić się z jarzma służby polskiej sprawie, by mógł nieskropowany niczym, stanąć u boku woinych pisarzy świata? Inna rzecz, że później Zeronki napisał „Przedwiosnie” — znowu o sprawi: — i bodajże najlepszą powieść swego życia.

Trzecia jednak zapytać, czy apel Gombrowicza — w tej jego puucystycznej formie (bo o artystycznym wyrazie poglądów pisarza będzie mi mowić później) — jest realny i bezpieczny, zwłaszcza w chwili obecnej? I czy w ogóle musi się go stawiać w takim ujęciu? (Na jeano już wyjdzie, czy będzie to Gombrowicza krzyk, czy Sambora doradzanie).

Natura polska jest krańcowa. Nie wiem, czy wszedźszy raz na drogę odwooru od Polski potrafi Polak zatrzymać się w miejscu właściwym. Jaki cel zresztą wzywając przyspieszenia procesu, który samorzutnie jest w toku, w zbyt szybkim toku? Co co przydadawac peaniacia wióseł — skoro nieuczonnony prąd i tak coraz dalej od Polski niesie?

Wszystko przecieź na obczyźnie od owego „oderwania się uczuciowego i intelektualnego od Polski”, które propaguje Gombrowicz, popęna lub kuśi: zyczneja niepalnie pływających lat, ponęta spokoju i wysocy, parcie obcei tresa i coraz bardziej rosnąca jej potrzeba. Nie tylko kundie — jak uspokaja Sambor — ale nawet najlepsze pogają się zwolna temu nieustannemu nacieraniu obcości.

Łożę się ślepa i nawet nierozsądna, nie wyierająca — zgodzmy się tu z Gombrowiczem i Samborem — wiersność polscie może być właśnie kurcząca samoobroną wewnątrz przed tym postępującym na obczyźnie procesem odcieczania się od ojczyzny.

Mnie się zdaje, że na apel Gombrowicza popularyzowany przez Sambora po prostu nie jest czas ani miejsce właściwe. Ławno może się zacząć, że idąc zgodnie z tym apelem stwarzania siebie na nowo w oderwaniu od ojczystej dawności, staniemy się wcześniej kims obcym, zanim zdążymy stać się kims nowym. Niebezpieczny to zabieg zmieniać własny kształt pod zaborem innym obczyźnie.

wezwanie Gombrowicza jest przedczesne albo spóźnione. Wyzwalać się od ojczyzny — bez groźby wyobcowania — można tylko w ojczyźnie.

Zas w ojczyźnie — jeśli wolnej — może w ogóle nie byłoby trzeba. Tam ów zwrot wewnętrzny, w którym Gombrowicz widzi zawsze zbawienie, sam się zapewne dokona. Przypomnijmy sobie — kto pamięta — jak „opętnanie Polska” poczęło ulatniać się w czasie dwudziestoletnia naszej niepodległości. Iż to było wśród starszego pokolenia wyrzekam właśnie na brak patriotyzmu, na praktyczność i egoizm miłych. Ale nawet ci starsi mogli obsterować w sobie ze zdziewiczaniem i wstydem podobną przemianę.

Nie jesteśmy więc aż tak bardzo, jak sądzi Gombrowicz i Sambor, „Poloniae adsripti”, tacy niezłodzi do rozluźnienia z nią więzów na rzecz hodowania osobistych talentów czy korzyści. I my bowiem odzyskawszy niepodległość zaczęliśmy na imię polskie reagować normalnie — jak członkowie innych wolnych narodów.

Ze mamy wiele wad narodowych, które nam szkodzą i które powinniśmy w sobie wyplenić — to jasne. Każdy naród ma swoje. Na to nie potrzeba jednak brutalnego gestu zrywania czy choćby rozluźniania więzów z „naszym życiem zbiorowym tak jak urobiło się ono w ciągu wieków”, by zacytować formułę Gombrowicza. Byłoby to, według popularnego przysłowia, „wylewanie dziecka razem z kąpielą”.

Skłodowska, Paderewski, Conrad — przytoczeni przez Sambora wielcy Europejczycy — dumni byli ze

swego polskiego dziedzictwa. Wiedzieli, że nie pomniejszyło ich cno, lecz wzbogaciło, że ono właśnie w rzubudowie ich ducha było kamieniem fundamentalnym.

Piętno, jakie na każdym z nas Polska wyciska, zawiera w sobie zarówno pierwiastki wielkiej wartości, jak liche, takie, które trzeba wypłenić lub przetworzyć i takie, których pozbywać się byłoby wielkim, głupim marnotrawstwem. Jakiż sens uchylać duszy przed tym piętnem? Poczóż rzucać generalnie i niebezpiecznie hasło „wyzwalania się od Polski” zamiast konkretnie wskazywać i zwalczać to, co w dziejowej pieczęci kształtującej nas jest zię lub niedoskonałe? Nic to zresztą nowego — czyniono tak od czasów Skargi. I nie widzę powodu do zmiany metody — dlatego tylko, że przegraliśmy jeszcze jedną wojnę.

Nie ulega dla mnie bowiem wątpieniu, że w gorączce i krańcowości antyocieczniejszej diatryby Gombrowicza kryje się poczucie majowartościowości wywołanej klęskki.

A krańcowa hasła nie są bezpieczne — jeśli by nawet rodzili się ze słusznych założeń. Hasła mają bowiem swe niezależne życie i niośa nieraz znacznie dalej, aniżeli zamierzali ci, co je rzucali.

Powie Gombrowicz: „Oto lęk przed każdym szczerzym, swobodniejszym odruchem, oto znowu troska: a nuż się od tego ta starobita Polska rozleci”. A niech sobie mowi.

Gombrowicz zapewnia wprawdzie, że wcale nie idzie mu o to, „ażeby zniszczyć nasze poczucie wspólności z narodem”. Ale jak chce uczynić jedno nie ryzykując drugiego?

Elementem każdej normalnej miłości jest szacunek. Jeżeli się go podkopie, miłość umiera. Nie wiem, ile można szacunku utrzymać dla ojczyzny, przed którą się ostrzega jak przed zakaźną choroba. Z cwiłą ją zaś gdy nad ucodzącym szacunkiem dla własnej tradycji narodem przeważa się rzuce szacunek dla obczyzny — w duszy szerzy się wolne miejsce dla nowego przywiązania.

Bywa inaczej: że żywi się dla własnego narodu uczucie ojca dla dzieci, którym można wszystko wybaczyć w imię miłości. Ale stosunek taki bywa wyjątkowy, spotyka go się tylko u dużych indywidualności. W życiu zaś trzeba myśleć kategoriami powszechnymi, nie wyjątkowymi.

wracam jednak do swego założenia w tym artykule: bronię Gombrowicza, Czyżby bowiem Gombrowicz tego wszystkiego, na co staratem się zwrocić powyżej uwagę, nie widział?

Bądźmy spokojni: Gombrowicz to dobrze widzi, byliśmy go nie sądzili według jego publicystycznych wystąpień, byliśmy poszukiali jego prawoty tam, gdzie jej szukać nalezy: w dziełach.

Ostatnia i najgłębsza prawda pisarza kryje się zawsze w jego dziełach a nie w publicystycznych sformułowanych wypowiedziach. Pisarz-artysta jest na ogół złym interpretatorem swojej wewnętrznej wiedzy. Wypowiada ją często mętnie, oświeta jednostronnie, popada w przesadę. Tylko w tworczości artystycznej intuicja podsuwa mu wyraz właściwy. Tylko w swych utworach pisarz jest naprawdę sobą. Dzieła artysty wszechstronniejsze są i głębsze od jego oficjalnych poglądów — tak jak życie bywa pełniejsze od rozmowy uproszczonej. Nie wierzę temu, co pisarze głoszą. Wierzę ich utworom.

Gombrowicz należy do artystów-myślicieli. Ale to przede wszystkim artysta. Jego właściwym wyrazem jest wielomowny symbol — nielatyw do ujęcia, tym bardziej, że dla niepoznaki wykrzywniony groteską. Ale tylko to, co mowią symbole, jest ważne — jest Gombrowiczem. Mało ważne natomiast wydają mi się jego deklaracje i oswadczenia — często po prostu dalszy ciąg gombrowiczowskich grotesek.

To, jak Gombrowicz widzi naprawdę los Polaka na emigracji, zawarte jest w „Trans-atlantyku”. Nieloty ten bodajże jedyny utwór literatury emigracyjnej, w którym z smialością i siłą utworów epiki romantycznej, poruszone zostały zasadnicze problemy naszego pobytu na ziemi obcej — nie został jeszcze wydany w książce. Jedynie fragmenty jego drukowała paryska „Kultura” w roku zeszłym.

Jakież są zatem różnice pomiędzy prawdą artystyczną wizer ją poglądami autora „Trans-atlantyku”? Ażeby czytelnicy nie podejrzewali mnie, że interpretuję sens zdarzeń tego utworu po swojej myśli, wołę unikać gotowych sformułowań a podać wprost jego treść — wnioski zaś pozostawiam czytelnikom. Jest to tym bardziej

pożądane, że „Trans-atlantyk” krąży tylko w maszynopisach i dotychczas dostępny jest bardzo niewiele — nie można więc nikogo po treść odesłać do wydania książkowego.

„Trans-atlantyk” jest rantazyjnym pamiętnikiem z pobytu pisarza w Argentynie w czasie wojny. Pierwszą część utworu stanowi ostra karykatura ówczesnej kolonii polskiej w Buenos Aires, a w szczególności naszego poselstwa, które w obliczu klęski zdradza całą swoją nieość, kryta bliźniskimi pocami — oraz jakies sp.iki handlowej, gdzie autor dostał prace, przedziwnego splotu staroswieckiego, krętactwa i balaganu.

Autor pamiętnika będący sam dziwarczym połączeniem buntowniczego kpiarstwa z tradycyjnym, unizonym stosunkiem do uznanych autorytetów — patrzy na tę kopalnianą, zmurszającą i przęgnącą wyspę polskości z rosnącym zdumieniem i obrzydzeniem.

Po takim gruntownym przygotowaniu uczuciowym pamiętnikarz popada w dramat, w zasadniczy zatarg wewnętrzny. Poznaję niemal równocześnie starego Polaka, Tomasza, uosobienie cnót staropolskich, ale także starszego zeszytnienia i próżności — oraz Argentyńczyka Gonzala, spryciarza i pederasta, który chce uwieść Tomaszowego syna, Ignaca.

Z g.ry należy stwierdzić, że jeżeli znajdujemy jakies byiski szacunku autera dla osób tego ironicznego dramatu, jeśli która z nich budzi jego szczerą litość i niepokój sumienia — to tylko Tomasz.

Nawet Ignac, syn Tomasz — to mieczak bez wyraznego charakteru, to może nawet „hajdak i do wskiego lajdarka spsobny” — stwor bez imienia — kt.rego każdy wpływ może wiodć pod swą władzę.

Pederasta Gonzalo (w Argentynie zwą ich „Futo”), który, jak się rzekło, powziął nagry a nieprzystojny atek do Tomaszowego syna, upatrzył sobie sprytnie osobę pamiętnikarza na pośrednika swoich nielegálnych amarów wiedząc o ubrże, że za pośrednictwem rodaka najłatwiej trafi do synaka, dōdże przez ojca strażonego.

Przecnera Puto wie, w jaką stronę uderzyć u pamiętnikarza zmierzonego całą tą tandetną polskością argentyńską i stęsknionego za jakas odnowa i wybauieniem; Puto wychył dobrze swą lajdarką intuicją jego achillesową pięte: „Ty z tych — powiada — co starym się nie zadowalają, a czegoś młodszego, nowego szukają. Ojczyznę — powiada — ty Szczyzną zastap.”

Tu wchodzimy w peine krolestwo Gombrowiczowskich symbolów, przedziwnie zresztą wcielonych w groteskowe życie utworu. Tomasz, zatem, to wszystko stare, z ojczyzyny wyniesione i niezdolne do życia. Ignac — to nieznała przyszłość, kusząca nowym kształtem i pełnią życiową, to „Szczyzną”.

Trzeba przyznać, że autorowi pamiętnika niałatwo jest wybrać, niałatwo dla zdradliwych ponęć przyszłości rzec się uczciwiej przyjazni dla starego Tomasz. „Nie taki ja szalony, ażebym dla Puta ojca i rodaka zdradził!”

Ala daremny sumienia zakaz, daremny uczciwośi wysięk. Starość jest już tylko „pusta, pustą”. W starej formie zabrakło żywej tresa, a ostał się jeno patos, poza i starza zalekłość. Pamiętajmy przy tym, że stary Tomasz — to jedyny jeszcze godny szacunku przedstawiciel ojczyzny na tym argentyńskim wyrazu. Reszta, to gromada samolubnych i bezmyślnych bliźnów, którzy urządzają albo huczne kuligi, by zataić przed obcymi, że ojczyzna ginie, albo zająwują cierpięcize zwiazki — by własne sumienie oszukać.

I tak wśród groteskowego biegu wydarzeń opowiesci, pozornych pojedynków i bliźniskich zajazdów — których bolesny sens podkreślił jest jeszcze ich groteskową formą — nasz pamiętnikarz coraz bardziej na stronę Szczyzny przechodzi, chociaż do końca podwojną lojalnością wiedziony, to ku ojcju, to ku synowi na przemianę się przechyla.

Albowiem „Stary tylko stara drogę zna i starej się trzyma kolei. Gdyby zbrękał spod ręki ojcowskiej wyzwolił — żeby też Pana Ojca poniośł. Koniec wtedy ojczyźnie, a już tylko Szczyzna!”

Ale czy pewny ten młody koń, na którego autor-pamiętnikarz stawia, czy warto dla niego z niecnoty Putem się sprzymierzać?

Chyba nie. Bo oto naraz, gdy na śpiącego Ignaca spogłada, zdaje się pisarzowi, że „hajdak był — niemniejszy hajdak od tych lajdarków wszystkich!”

Ów Gonzalo zaś, który pisarza tak przemyslnie Szczyzną kuśi, i równocześnie Ignaca coraz lepiej

podatności dla swych niecnych celów przyruca i przeciw ojcu podburza — ów Gonzalo to przeciez nie żaden przewodnik światły, kotremu zaufać by można, lecz chyturus, tchórz i pederasta — Puto.

Więc źle i wstyd. Ale transatlantyki dziejopsis już nie ma wyboru. Tymczasem bowiem zdręka Puto dopiń swego: syna do zblębia ojca przysposobił, a ojca przeciw synowi rozjuszył. Teraz jeżeli syn ojca nie zgładzi, to na pewno ojciec syna zabije. Lepiej więc juz by nowe, by niewiadome, choć i niepewne zwyciężyło. „Niech stanie się, co się ma stać. A niech się dzieje. Niech syn morderce ojca!”

Ala zatarg wewnętrzny, ale uderka nie opuszcza amatora nowosci do końca. „O, wstyd przed ludźmi, wstyd. Jezus, Maryja — a coż za wstyd gorzki, dręczący!”

I dopiero, gdy strasna i upagniona chwila się zbliża — gdy syn już do ojca podlatuje, by go „bacznąć” smiertelnie — napięcie dramatyczne naraz pęka w wielkim powstęchnym wybuchu smiechu.

Smiech już tylko zdoła uratować od nieuchronnego tragiczmu. Na tym opowiesć się konczy.

Cóż widać na to, czytelnicy? Czyż odnajdujecie w tej wieloznacznej opowiesci jednostronność, ciasność i zacietrzewienie publicystycznych wypowiedzi autora? Czy nie wydaje się wam, że sam Gombrowicz (poeta i wizjoner) zwalcza i podwaza tu najskuteczniej przykowne tezy Gombrowicza (publicysty i kaznodziei)?

Staratem się w moim streszczeniu odciecz uczciwie kształt zdarzeń i myśli utworu — choć musiałem ograniczyć się tylko do głównego wątku zostawiając na uboczu inne, nie mniej ciekawe. Może mi oczywiscie ktos zarzucić, że jest inaczej, że nagaiem watek pisarza do wiarynych poglądów. Oby więc „Trans-atlantyk” ukazał się jak najprędzej w druku. Jestem przekonany, że poznany w swej bogatej całości utwór Gombrowicza będzie służył, a nie szkodził prawdzie, o którą staje.

Starcie pomiędzy nurtem zachowawczym, fanatycznie lojalnym w stosunku do wywiezionej z kraju tradycji a postępowym, zachętnie tym nowością poznanej świata i ouszającym się z ojczyznianych kompleksów — to zasadnicze starcie ideowe naszej emigracji, to jej problem życiowy. Tragiczna groteska Gombrowicza jest tego starcia celnym i pouczającym obrazem.

Gombrowicz nie rozwiłzał problemu, ale go wyraźnie postawił i dotkliwie nam uświadomił. A to jest wiele. Od artysty nie żada się więcej.

najbardziej znamienne jest to, że autor — niewątpliwie sam zwojennik przemian wewnętrznej Polska na obczyźnie — na promotora i opiekuna tej przemiany wyznacza w swej powiesci nie postać pozytywną, ale Puta, argentyńskiego rajtura.

Gombrowicz — jak się go na podstawie „Trans-atlantyku” musi rozumieć — widzi sam najlepiej jednostronność i niebezpieczeństwa swej tezy wyzwalania się od Polski — dla Polski; w powiesci swej w równiej mierze walczy on o tę swoję tezę, jak przed nią ostrzega. Zresztą w przedmowie do „Trans-atlantyku” Gombrowicz określił własny mi słowy watek tego utworu jako „konflikt pomiędzy pobożną dawnością a rozwydrzeniem nie znajdują norm dzisiejszości.”

(I jeżeli w liście do Zbyszewskiego („Wiadomości”) wyjaśniającym intencje „Trans-atlantyku” pisarz twierdzi, że utwor ten miał być przekrzywieniem „Pana Tadeusza”, że jest to niejako „AntyTadeusz” nowej emigracji — odrzec trzeba, że Gombrowicz nie zdołał przekrzywić „Pana Tadeusza” — przede wszystkim w sobie).

Przeciwnie: wydaje się, że autor „Trans-atlantyku” wśród nacisku i pokus obczyzny nie oddalił się, lecz raczej zbliżył się do starodawnej polskości, którą tak żażarcie jakoby zwalcza. I on, niegdyś „wolny” twórca „Fedydurki”, coraz mniej chyba staje się wolny; może właśnie dlatego tak się z Tadeuszem-Tomaszem w sobie zмага i nie wiadomo jeszcze, gdzie się ta jego droga doożyzniana skonczy.

Więc „Trans-atlantyk”, to nie „AntyTadeusz” — mimo zapewnien autora. Jeżeli zaś już szukać analogii w wielkiej literaturze romantycznej, opowieść Gombrowicza wydaje się raczej „Nieboską komedią” naszej emigracji — w której zadan z walczących ze sobą stron nie jest zdoła ani godna wygranej.

Tylko że Krasński rozwiązuje nierozwiązalny zatarg zwycięstwem Chrystusa, a u Gombrowicza zwycięża — smiech. Czy zwycięża?

## WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

W DAWNEJ SIEDZIBIE PAPIEZY. Moda urzyczania „festwali” — rzecz zresztą piękna i użyteczna, jeśli postawiona na odpowiednim poziomie — objęła także prowincje francuskie. Swozo odbyły się festiwale w dwóch pięknych historycznych miastach prowansalskich: festiwal muzyki w Aix-en-Provence i festiwal sztuki dramatycznej w Awinionie.

Aix stało się naszym Salzburgiem”, pisał jeden z tygodników paryskich. Główną atrakcją festiwalu było „Wesele Figara” Mozarta. Na szósty festiwal sztuki dramatycznej w Awinionie, odbywający się w dawnym pałacu papieży, złożyły się trzy utwory: „Książę Homburg” Kleista, „Skapiec” Mollera i „Lorezelczo” Musseta. Reżyserem wszystkich trzech był znany aktor Jean Vihar, dyrektor Teatru Narodowego Popularnego w paryskim Palais de Chaillot, W „Skapcu” stworzył on wspaniałą aktorską kreację Harpagona. „Clou” tegorocznego festiwalu stanowiła jednak sztuka Musseta, w której główną rolę grał Gerard Philippe.

ZGON WYBITNEGO HISTORYKA. W wieku lat 86 zmarł Ferdinand Lot, najwybitniejszy specjalista francuski w zakresie historii wczesnych wieków średnich. Dzielałami swymi przywrócił się on w wybitnie do rozwieszenia mroczków epoki Merowingów i Karolingów. Zastępcę rozlog zeznał mu pomnikowe: „La fin du monde antique et le debut du Moyen Age”. Wydał także szereg dawnych niemianych tekstów literackich; sporo pracy włożył w filologię romańską i celtycką. „Nikt nie zrobił tak wiele — jak stwierdza jedna z słownych czasopiśmie literackich — dla poznania początków naszej cywilizacji i naszej literatury.”

Tot był przez d'ugle lata profesorem Sorbony i „Ecole pratique des hautes etudes”. Otrzymał szereg nagród naukowych. Mimo podeszłego wieku nie ustawał w pracy i jeszcze parę lat temu ogłosił cenne dzieło o Galii i o „narodach Francji”.

SPRAWA ROZWOĐOWA BERTRANDA RUSSELLA. Pewnego rodzaju sensację w angielskich kołach intelektualnych zrobiła wiadomość, że sone filozofa Bertrand Russella, który parę miesięcy temu skończył 80 lat życia, wystąpiła przeciw swemu mōwzi ze skargą rośwadowa „GŁOSY AZJI”. Spod pióra pisarza amerykańskiego Jamesa A. Michenera wyszła interesująca książka „Voices of Asia” (wyd. ang. Secker and Warburg, cena 21 s.). Autor, chcąc przedstawić publiczności amerykańskiej sposób myślenia i nastroje ludów azjatyckich, podaje w swej książce wyjątki z rozmów, przeprowadzonych z 33 osobami lub całymi grupami, wśród których zresztą znajdują się także nie-Azjaci.

P. Michener sympatyzuje z azjatyckimi ruchami nacjonalistycznymi. Z Chinczykami przeprowadzał rozmowy tylko na Formozie i w Hongkongu. Dale to według recenzentów „Literary Supplement” do uwagi, że P. Michener nie zna zupełnie „nowych Chin”: tj. Chin Mao Tse. Recenzenca drażnił też pewne wypowiedzi Michenera o Brytyjczykach. Przytacza on np. z książki taki passus: „Jest rzeczą możliwą, że za lat pięćdziesiąt wspominać będziemy Wielką Brytanię z sentymentalną referencją jako grupę wysp, posiadających wpływ stosunkowo niewielki, choć o przeszłości pełnej chwały, podczas gdy Indie staną się jednym z trzech lub czterech czołowych narodów świata.”

„Malo to jest przekonywujące dla czytelników brytyjskich” — stwierdza autor recenzji.

REFORMA ORTOGRAFII FRANCUSKIEJ. Projekty reformy pisowni angielskiej, wysuwane przez zmarłego G. B. Shaw'a i kilka innych osób, nie mają, jak się zdaje, widoków na urzeczywistnienie. Powstałszy ch.akter po sładn analogiczna akt Francji.

Na jawni 1950 r. Rada Najwyższa Wychowania Narodowego („Conseil superieur de l'Education nationale”), ciału oficjalne, obradujące pod przewodnictwem kadrozowego ministra wychowania narodowego powołała do życia komisję dla przedstudowania uprosteń niw niektórych reguł grammatycznych i pisowni francuskiej. Komisja ta, na której czele stoi p. M. A. Besials, szef departamentu szkolnictwa powszechnego, projekt taki opracowała i przedstawiła go Radzie Wychowania Narodowego. Jak słychać, Rada ta po zaznajomieniu się z projektem przekazała go z powrotem komisji p. Besials'ce celem ponownego przedstudowania. Obecnie p. Besials ogłasza w „Figaro Litteraire” „ostateczny raport” komisji.

Oto najważniejsze zmiany, jakie komisja zaproponowała:

1. Zniesione zostają spółgłoski podwojne w środku wyrazów. Będzie się więc pisać: „ville” (nie „villes”), „home” (nie „hommes”), „male” (nie „males”), „honneur” (nie „honneur”).

2. Usunięte są spółgłoski pasyżne. tj. nie mające uzasadnienia w wymowie. Będzie się tedy pisać: „seuler” (nie „seultier”), „promittude” (nie „prompitudine”), „pois” (nie „poisis”), „dot” (nie „doit”).

3. Koncowe „ux”, zarówno w rzeczownikach lichej polcojeźcy jak mnogiej, zastąpione będzie przez „us”. Będzie się więc pisać: „chevaux” (nie „chevaux”), „bijoux” (nie „bijoux”), „feux” (nie „feux”), „la toux” (nie „la toux”), „heureux” (nie „heureux”), a także „doux” (nie „doux”), przy czym liczba mnoga tego ostatniego czasownika będzie pisała „douxse” a nie „douce”, jak dotychczas.

4. Tak zwane „miekkie g” zastąpione ma być przez „j”. Będzie się więc pisać: „jenie” (nie „genie”), „rèjle” (nie „règile”), „cajolo” (nie „cagolo”), „gajure” (nie „gajure”).

5. Usunięta ma być litera „h” po „l”, „r” w słowach pochodzenia greckiego. Będzie się więc pisać: „lètre” (nie „lètre”), „reteur” (nie „rheteur”). Podobnie zamiast „ph” używać się będzie zawsze „f”. Jak np. w słowach „phantasme” (nie „phantasme”), „falange” (nie „phalange”).

6. Końcówka „ent” względnie „ents” przyimiotników i rzeczowników czasownikowych zostawiana będzie do koncołmi imielowu czasu terażniejszego, pisząc się więc będzie „ants”, względnie „ants”. Oto przykłady: „different” (a nie „différents”), „une difference” (nie „différence”).

W sprawozdaniu swym komisja uzasadnia swe propozycje różnymi względami. Tak np. stwierdza, że litera „x” w słowach takich jak „chevaux” czy „doux” dostala się tam po prostu przez pewien specjalny sposób pisania końcówek tych słów, używany dawniej. Owego „x” nie ma więc żadnego uzasadnienia leżkowego.

W jaki sposób opinia publiczna zareaguje na te propozycje, dowiemy się, choć w części, z głosów różnych wybitnych osobistości, które mają się wypowiedzieć na łamach „Figaro Littéraire”.

Wit Tarnawski

# ZYCIE

## KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 17 sierpnia 1952.

### LISTY DO REDAKCJI

## „MNIJ ZŁE ROZWIĄZANIE”

Szanowny Panie Redaktorze!

Władze, wolałbym nie polemizować z listem p. Winczakiewicza w sprawie Hiszpanii w nrze 29 (265) ŻYCIA, obojętne stanowisko zostały już wyluszczone w sposób dostatecznie jasny.

Nieśmielnie jednak odpowiedź na niektóre twierdzenia i wywody p. Winczakiewicza za niechcąco niesposób.

Pragnę się ograniczyć do kilku tylko punktów.

1) P. Winczakiewicz odwraca chronologię i twierdzi, że palenie kościołów, rzezie i zabójstwa itd. zaczęły się w Hiszpanii dopiero po wybuchu wojny domowej jako jej skutek. To nie odpowiada rzeczywistości. Wiele kościołów spalono i wielu ludzi pomordowano, nie grubo przed wybuchem. Jest prawdziwe, że spalono i wymordowano najwięcej ludzi po wybuchu wojny domowej, gdyż wojna ta zaczęła się, gdy główne nasilenie rewolucji hiszpańskiej, toczącej się zwykłym rytmem wszystkich rewolucji, nie osiągnęła jeszcze punktu szczytowego. Proces był już jednak w pełnym biegu i można go było zatrzymać tylko czynną kontrakcją, co właśnie powstanie zrobili. Niesprecyzowanie się zlu a la russe nie byłoby uradowało ani jednego kościoła przed spaleniem i ani jednego księdza przed zamordowaniem.

2) Dodam, że anarchia rewolucyjna w okresie poprzedzającym powstanie toczyła się nie tylko jako proces rewolucyjny od dołu, ale siegła szczytów hierarchii państwowej, czego przykładem jest bestialskie zamordowanie tuż przed wybuchem powstania prawicowego polityka, Calvo Sotelo, przez organa rządowe, a było jedną z bezpośrednich przyczyn powstania.

3) P. Winczakiewicz przytacza jako dowód niekomunistycznego oblicza „republik” ten fakt, że komuniści zdobyli w ostatnich wyborach przed wojną domową 3 i pół procent mandatów. Odpowiem na to że w roku 1917, tuż przed rewolucją październikową, odbyły się w Rosji wybory do konstytuancy, w których bolszewicy ponieśli podobnie druzgoczącą klęskę, a żywo umiarkowane osiągnęły większość. Nie przeszkodziło to jednak bolszewikom opanować władzę. Partia komunistyczna posiadała wysoką technologię, była doświadczeniem, kładła rękę na kluczowych ośrodkach władzy, a równocześnie chłowa się za zasłoną szerokiego frontu rewolucyjnego, lub nawet liberalnych, w których wszelkie rodzaje klęczeń zbieżny bór na siebie tylko pozory odpowiedzialności. Rewolucja hiszpańska aż do końca wojny domowej zachowała republikancki parawan koalicyjny frontu ludowego w steru rządu, a parawan ten nie znaczył więcej, niż pod pewnymi względami znaczył mniej, niż podobny parawan wielopartyjności lewicowej w Polsce po 1945 roku.

4) Gdyby jakiś rosyjski generał Franco wraz z jakimś rosyjskim Requetem stawił by w roku 1917 skutecznie i w porę czoła rewolucji bolszewickiej, ludzie myślący jak p. Winczakiewicz rozdzieliby z tego powodu szaty tak samo, jak rozdziela się dziś z powodu powstania narodowego w Hiszpanii. Ale czy nie byłoby się lepiej stało dla świata i dla narodu rosyjskiego, i czy nie byłoby to bardziej zgodne z wola większości tego narodu?

Wybory republikańskie, o których p. Winczakiewicz wspomina, wykazały, że większość w narodzie hiszpańskim miały żywo umiarkowane i katolickie. Wyniki tych wyborów w niepełnym stopniu dawałyby powstanie tytuł moralny do wystąpienia w imieniu narodu hiszpańskiego i chętnych do broni przeciwko komunistycznym urzędownikom i popierającym ich kierownictwom. Po stronie republiki był legalizm czysto formalistyczny i papierowy, bynajmniej jednak nie legalizm rzeczywisty woli większości narodu.

3) P. Winczakiewicz przeczy, by oddziały ochotników karlistowskich Requetę odegrały decydującą rolę w zwycięstwie powstania.

Rzecz prosta, w tak skomplikowanym zjawisku, jak hiszpańska rewolucja, kontrrewolucja i wojna domowa — odegrały role czynni i różne. Wydaje mi się jednak, że jest rzeczą bezporna, iż powstanie się udało, ponieważ wytworzyło się na północy rozległe terytorium, obejmujące połowę Hiszpanii (z wyjątkiem Asturii i kraju Basków), objęte jego władzą i będące jego geograficzną i polityczną bazą. Na obszarze tym nie było wojsk marokkańskich i tylko bardzo mało wojsk metropolitalnych. Obszar ten został opanowany i scementowany przez katolickie, chłopskie powstanie karlistowskich Requetę, która podstawa była Nawarra. Powstanie największych garnizonów wojskowych — w Madrycie, w miastach katalońskich, w Owidio, nawet w Toledo itd., na ogół się nie udało. Zostało zmiażdżone i utopione we krwi przez milicję robotniczą i przez formacje rządowe, takie jak Guardia de Asalto (rodzaj wojsk bezpieczeństwa publicznego), zarówno jak przez oddziały wojska, które opowiedziały się po stronie republiki. Powstanie zwyciężyło dzięki cesze masowego ruchu ludowego, jaką mu nadał karlistę (Requetę). Można przyjąć, że grubszą, że czerwoną utrzymał się w przemysłowych prowincjach Hiszpanii, a powstańcy opanowali rolnicze.

Wyławdanie armii marokkańskiej w Andaluzji, jej marsz na północ i połączenie się z powstaniem, to był dopiero drugi etap wydarzeń, należący już więcej do dzieł wojny domowej, niż do dzieł powstania.

Requetę nie byli sołdaci, byli grupowaniem politycznym. Ale chwycili za broń nie po to by wprowadzić w życie swój program, tj. wprowadzić na tron Don Carlosa (czego robić w ogóle nie próbowali), lecz po to, by stanąć w obronie kraju i kościoła i by pomóć odeprzeć komunistyczną rewolucję.

P. Winczakiewicz pisze, że żyłymi, o których oparło się powstanie, byli: „generacja i korpus oficerów zawodowych, policja, Guardia Civil, karlistę, monarchistów, Falangę, konserwatyści, posiadacze ziemscy i kapitaliści”. Odpowiem na to, że „kapitaliści i konserwatyści” nie odegrali w powstaniu żadnej roli, schowali się w misję ołure. Oficerowie zawodowi i generałowie odegrali rolę dużą, ale ich udział kompensuje się udziałem po odwróceniu frontu lub neutralnością innych oficerów zawodowych i pułków, kompensuje się znajdowaniem się aparatu państwowego, jego sieci komunikacyjnej itd. w rękach republiki, a wreszcie instynktom związków zawodowych robotniczych, uzbrojonych i zorganizowanych milicji robotniczych, oraz formacji rządowych takich jak Guardia de Asalto.

Istotną siłą powstania była ofiarność i poczucie szerokiego frontu, inteligencja, drobny mieszczaństwo, katolicki robotnik. Dodam tu słowa, napisane przez J. Łobodzkiego w artykule ogłoszonym przed kilkadziesiąt latami. „Liberalizm i tradycjonalizm scierały się z sobą w Hiszpanii na przestrzeni ostatnich stu pięćdziesięciu lat. I tak się zawsze niemal składało, że nowinkom przyniesionym z zagranicy — z Francji i Anglii — holdowała dynastia, środowiska intelektualne, bogate mieszczaństwo, natomiast kraj tradycjonalizm, ultra-katolicki i monarchistyczny opanował się na szerokich masach prostej ludności... Zbrojny ruch karlistowski trzymał się parapełniem drobnego kleru i chłopa”.

4) Nie będę dyskuować z p. Winczakiewiczem na temat, jaki procent ludności Hiszpanii jest za, a jaki przeciw Franco, bo tego nie sprawdzimy. Wystarczy, gdy stwierdzimy, że ma on zarówno zwolenników, jak przeciwników, co jest zrozumiałe w kraju, w którym była wojna domowa. Istota sprawy polega na tym, kto go popiera, a kto zwalcza, że go zwalcza komisji i ich sympatycy, oraz że go zwalczały te żywo, które ongiś palili kościoły i mordowały księży, to jest bezporna. Ale po czyjej stronie jest przytaczająca większość świeckich katolików, księży i episkopatu? Może się to p. Winczakiewiczowi podobać, lub nie, jest jednak faktem, że ta przytaczająca większość jest po stronie obecnego reżymu nie zamkniętą zresztą oczu: na jego braki i słabości. Może sympatye są po stronie tej większości — z tymi samymi zresztą zastrzeżeniami.

5) Ze Franco w czasie wojny światowej nie „popierał konkretną akcję”, „spójnej sprawy” z Hitlerem, jest faktem ogólnie wiadomym i uznanym także i przez zrodła angielskie. Musiał lawirować, potrafił wysłać ochłap pomocy na front niemiecko-rosyjski, ale oparł się w sprawie najważniejszej: nie przepuścić Niemców do Gibraltaru i Maroka i kto wie, czy nie przyczynił się tym do przegrania przez Hitlera wojny.

6) Nie jest obrze jeśli czynnik polityczny przybiera sobie oficjalnie nazwę rządu katolickiego, lub stronnictwa katolickiego, tym sam obciążając pośrednio kościół odpowiednio działającą za swoją politykę oraz urzępowi sobie pozór wyłączonego rządu kościoła. Franco tego na ogół nie czynił; jego Franca nie nazywała się Falangą Katolicką, a Franca między tym, co robi polityka rządowa, oraz tym, co robi kościół, wykresiona jest całkiem wyraźnie. Tym urzępowi katolickich-lewicowców (demokratów chrześcijańskich) mają skłonność do oficjalnego osławiania swych poczynków politycznych nazwą polityki katolickiej.

Można jednak nie nazywać się partią katolicką czy rządem katolickim, a być nim w rzeczywistości. O rządzie czy stronnictwie katolickim, niekoniecznie z urzędową nazwą, ale z tresci, można powiedzieć to samo, co o katolickiej szkole, katolickim dzienniku czy katolickim autorze. Dziennik katolicki może się zajmować polityką, teatrem, sprawami ekonomicznymi lub operacjami wojennymi; nie musi każdej strony poświęcać równość, czy sprawozdaniom z posiedzeń parlamentów, czy wreszcie teologii. Może na wiele spraw mieć poglądy własne, nieraz subiektywne i wypowiedzi je śmiało, nie dbając o to, że są i tak, co się z nimi nie zgadzają. Musi jednak nałożyć sobie rygory katolickiej etyki i katolickiego sumienia, musi postępować tak, by działalnością swoją przyczyniała się do dobra kościoła i religii, a już co najmniej, by mu nigdy nie szkodził, musi wreszcie opierać się o ludzi, którzy wierzą w Boga i są katolikami z przekonania i postępowania. Te kryteria można zastosować do katolickiego rządu i partii.

Rząd gen. Franco jest niewątpliwie rządem katolickim w powyższym znaczeniu. Jego polityka — także i polityka na polu szkolnictwa

— stawia sobie za jeden z głównych celów przyczynić się, drogą nieefektywnej, rozłożonej na wiele lat pracy organizacyjnej, do odródnienia wiary w tych środowiskach narodu hiszpańskiego, w których ona zanikła, przyczynić się do wzmożenia i pogłębienia życia religijnego i do zaspokojenia potrzeb kościoła. Sam Franco jest wierzącym, gorliwym katolikiem.

Natomiast „republika” nie była ani katolicka, ani obojętka wobec kościoła, lecz zacięta wroga religii i kościołowi. Sam p. Winczakiewicz przyznaje, że pod jej władzą „polała się strumieniem krew księży i zapłonęły sekaki kościoły”. To chyba charakterystyczny jej oblicze w sposób dostateczny.

7) P. Winczakiewicz trafnie zgaduje, że pisma „Egiz” nie miały w rękę. Wtem o nim tyle tylko ile się dowiedziałem od p. Winczakiewicza. To mi jednak wystarczy, by stwierdzić, że jest to pismo związane takimi czy innymi węzłami z baskijskim ruchem separatystycznym. Baskijscy separatycy, także katolicy i także niektórzy księża, stali w okresie wojny domowej po stronie „republik”, mniej więcej z tych samych przyczyn, dla których katolicka Litwa od lipca do października 1920 roku współdziałała przeciwko Polsce z Rosją sowiecką. (Jak zresztą p. Winczakiewicz słusznie przypominają — kościołom na swoim terytorium nie palił i palić nie pozwolił). To też ich obecna postawa opozycyjna wobec gen. Franco jest niczym nowym i o żadnym procesie odwracania się katolików od tego ostatniego nie świadczy.

Nie mam danych do oceny, czy fakty cytowane przez p. Winczakiewicza za wspomnianym piśmie są prawdziwe czy też są propagandową przasadą, lub przeinaczeniem. Jeśli są prawdziwe, oceniam je, rzecz prosta, ujemnie. Ale czy na pewno są prawdziwe? — Informacje takie trzeba oceniać bardzo ostrożnie.

P. Winczakiewicz pisze na przykład: „Na Kongresie Eucharystycznym w Budapeszcie w r. 1938 Baskowie chcieli śpiewać swe pieśni kościelne. Prymas Hiszpanii, ks. Goma, zagroził im, że natychmiast opusi Budapeszt, jeśli usłyszy język baskijski na kongresie — i Baskowie ustąpili. A przecież kościół pozwala moim zdaniem na wszystkie języki”.

W r. 1938 trwała jeszcze wojna domowa. Zjawnie się osobnej delegacji baskijskiej na kongresie w Budapeszcie i jej baskijski śpiew, to nie był akt zaspokojenia potrzeb religijnych baskijskiej ludności, ale polityczna demonstracja odrębności. Zgoda niesposób się dziwić, że kardynał Goma, prymas Hiszpanii, przewidywał te demonstracje zapobiegał. Gdyby oświadczył na kongresie w Budapeszcie, że delegacja katolików niemieckich z Wrocławia i przeprowadziła jakąś demonstrację, podkreślając niemieckie tego miasto, z pewnością zapobieglibyśmy tak samo.

8) To prawda, że kraj Basków jest krajem do gruntu katolickim. To samo zresztą dotyczy sąsiedniej Nawarry.

Stwierdzenie tego nie uzasadnia jednak twierdzenia p. Winczakiewicza, przeciwko któremu zaprotestowałem, że „kraj Basków to jedyny, prawdziwy bastion katolicyzmu w Hiszpanii”. Także i inne ziemie Hiszpanii, oczywiście z wyłączeniem skomunizowanych kręgów przemysłowych, radykalnych okolic Andaluzji itd., mogą się poszczycić wysoką liczbą powołań.

Nie szkodziło by zresztą sprawdzić, czy w mieniu przez p. Winczakiewicza wsie baskijskie, szczerze się losiści powołań, były naprawdę usposobione separatystycznie. A może właśnie przeważali w nich, ślni wśród Basków, karlistę?

9) Jestem jak najbardziej daleki od zachwytu nad instytucją dyktatury i jej konsekwencjami, takimi jak cenzura, zglizehszaltowanie prasy itd.

Rzecz jednak w tym, czy istnieje dziś praktyczna możliwość zastąpienia dyktatury hiszpańskiej jakimś innym ustrojem, który nie byłby narazem na przekształcenie się w najbardziej niebezpieczny w ustroju komunistyczny. Hiszpania nie jest krajem o liberalnych tradycjach. Nie można do niej przykladać ani miary angielskiej, ani miary odwiecznej republikańskiej i parlamentarnej tradycji polskiej.

Dyktatura hiszpańska nie jest idealnym rozwiązaniem kwestii politycznej urzędów Hiszpanii w obecnej chwili, jest jednak mniej złym rozwiązaniem od wszystkich innych, dających się na razie pomyśleć.

Bądźmy więc sprawiedliwi w jej ocenie. Łączę wyrazy prawdziwego poważania.

JĘDRZEJ GIERTYCH

London, 27 lipca 1952.

### BYT I PRAWDA

Szanowny Panie Redaktorze!

P. Feliks Bohdanowicz w artykule „Poznanie i miłość” bardzo trafnie ujął rolę i wagę poznania intelektualnego w życiu religijnym człowieka. Nieustannie jednak widzę w jego artykule, jak wszystkie wszelkie wywody często się zdarza, do artykułu tego wkładają się pewna niesłusność pojęcia, która jest o tyle groźna, że dotyczy zasadniczych podstaw terminologicznych filozofii. Przytoczę cały ustęp dla uniknięcia nieporozumień: „Wiara, uzasadniona rozumowo przesłankami, uczy nas, że Bóg jest Dobrem, który obok Prawdy stanowi nieodłączną cechę pojęcia Bytu absolutnego i tak tak dalej, że na szczeblu Absolutu pojęcia bytu, dobra i prawdy są zamienne, a więc mogą sobie słuzić wzajemnie jako synonim”.

Jest to bardzo szeroko przyjęte, by o Bogu mówił jako o „Prawdzie Najwyższej”. Nie wątpiłem, ma to pewien sens i oznacza pewne trafne stwierdzenie. Ale, to trzeba jak najmocniej podkreślić, mówić tak można tylko w sensie przerosnym, używając terminu „prawda” w specjalnym tylko znaczeniu.

Prawda to jest tylko i wyłącznie zgodność poznania rozumowego z rzeczywistością. Jeżeli mówimy, że jakiś sąd jest prawdą, np. „prawda jest, że dwa razy dwa jest cztery”, to wyrażamy przekonanie, że ten sąd zgadza się z rzeczywistością stanem tego, o czym mówi.

Jest to bardzo szeroko przyjęte, by o Bogu mówił jako o „Prawdzie Najwyższej”. Nie wątpiłem, ma to pewien sens i oznacza pewne trafne stwierdzenie. Ale, to trzeba jak najmocniej podkreślić, mówić tak można tylko w sensie przerosnym, używając terminu „prawda” w specjalnym tylko znaczeniu.

Prawda to jest tylko i wyłącznie zgodność poznania rozumowego z rzeczywistością. Jeżeli mówimy, że jakiś sąd jest prawdą, np. „prawda jest, że dwa razy dwa jest cztery”, to wyrażamy przekonanie, że ten sąd zgadza się z rzeczywistością stanem tego, o czym mówi.

petu wywody Hoyle'a, ludzące rzekomą pewnością, mile lechące dumę inteligencji, że nauka otwiera wszystkie podwoje, właśnie odpowiadać temu, czego szeroka publiczność w dzisiejszej neopoganizacji epoki sobie życzy.

### NASZA ODPOWIEDZ

Ten nawrót scjentyzmu wprowadza duże zamieszanie zwłaszcza w umysłach studiującej młodzieży katolickiej, która — z entuzjazmem właściwym jej wiekowi — wnikania w siebie te wszystkie nauki nie mając jeszcze dostatecznego krytycyzmu, aby odrzucić w nich ziarno od plewy. Toteż zadaniem myślących katolików musi być wykazywać nie tylko powierzonność, pychę, niesumiennosć poszczególnych wytworów, lecz również i zasadnicze błędy epistemologiczne, leżące u podstaw nowoczesnego scjentyzmu.

### ZAKRES POZNAWANIA NAUKOWEGO

W pierwszym rzędzie badania filozofów, od Poincaré'ego począwszy, wykazywały w sposób niewątpliwy, że nauki przyrodnicze nie mogą pretendować do tego, aby swymi metodami badawczymi obejmowały całą rzeczywistość. Przez sam sposób podejścia wykluczają one wszystko, czego nie może ująć „medra szkieleto i oko”, a tym samym rozumowania ich często nie barzo odbiegają od wywodów człowieka, który stwierdziwszy zmienność prądów elektrycznych w lampie aparatu radiowego w czasie, gdy gra on symfonie, stara się wytłumaczyć muzykę tymi i rządami. Stwierdza on, że w razie uszkodzenia aparatu nie wydaje więcej muzyki, lecz nieskoordynowane dźwięki, gdy zaś w aparacie odetnie się część lamp, zmienia on swą „oobowobow”, gdyż nie może już więcej mówić po niemiecku, jak to dawniej czynił. Wreszcie z wielkim głosem gogo gogarsza się przechodząc coraz bardziej przykre chrapanie. Opierając się na tych przesłankach nasz „badacz” z tryumfem wykrzykuje: „Jedynym logicznym wnioskiem jest teza, że muzyka jest po prostu funkcją lamp aparatu. Nienaukowa hipoteza o orkiestrze BBC, jako jej źródło, jest tylko chrzesądem religijnym, który stanowczo należy odrzucić”.

To przekonanie wszystkim, czego nie można poznać przy pomocy metod nauk przyrodniczych, tak silnie zapuściło korzenie w umysłach uczonych, że i dziś jeszcze profesor uniwersytetu w Aberdeen, Margaret Knight, mówiąc o udogodnionych już w sposób niezbity zjawiskach postrzeżeń pozamysłowych, odnosi się do nich z najwyższym sceptycyzmem, gdyż „zdają się one gwałcić jedno z podstawowych założeń nauk przyrodniczych” („Theoretical Implications of Telepathy”, „Science News”, nr 18).

Coż byśmy powiedzieli o uczonym, który by odrzucił doświadczenia nad rozpadem promieniotwórczym, ponieważ „gwałcą one założenie niezmienności materii”?

Faktem bowiem jest, że zjawiska takie jak telepatia (o której wspo-

laniana wyżej pani Knight mówi, iż „przypuszczenie, że istnieje fizyczna przyczyna telepatii jest obecnie niemożliwe, niżycm więcej jak aktem wiary”) i jasnowidzenie zostają potwierdzone doświadczalnie, którym i czego absolutnie zarzucenie nie można z punktu widzenia naukowości nawet wymagać nauk przyrodniczych.

Zjawiska te, podobnie jak wyczynnych jogów wykazujące, jak dalece wola człowieka pałowac może nad jego o ciałem, a wreszcie nie dające się zaprzeczyć cudowne uzdrowienia w Lourdes, lub cud słońca Faltimy zgodnie wskazują na to, że istnieją na świecie zjawiska nie poddające się „prawom nauki przyrodniczych”, że więc twierdzenie, jakoby metody nauk przyrodniczych były jedyną drogą poznania, jest sprzeczne z faktami i tym samym musi być odrzucone przez każdego, zdcznego do logicznego wyciągania wniosków z faktów.

\* Doskonałą analizę tego zagadnienia podaje książka L. S. Stebbinga „Philosophy and the Physicalist”, Penguin Books, 1944.

### BYT I PRAWDA

to tylko w tym sensie, że był jest rzeczywistą, poznawalą przez intelekt. I to, istotnie, jest cecha bytu: był jest poznawalny, inteligibilny z samej swej istoty. To znaczy, że możemy o nim wydać sąd, który będzie prawdą. Natomiast, jeżeli oderwemy zupełnie kwestię naszego poznania, pojęcie prawdy nie będzie w ogóle potrzebne dla istoty bytu.

W związku z tym, inne zdanie z tego samego artykułu wymaga sprostowania: „Bóg również doskonała jednostka jawi się nam pod różnymi aspektami: jako absolutny Byt, Prawda, Dobro i Piękno”. Jeżeli wyraz „absolutny” ma się stosować tylko do „Bytu”, to jeszcze nie jest tak źle, ale jeżeli takie i do pozostałych wyrazów, jak „Prawda”, „Piękno” i „Dobro”, to trzeba od razu powiedzieć, że „Prawda” będzie tam określeniem bardzo nie na miejscu. Bo „absolutna prawda” to znać, że „absolutna zgodność umysłu z rzeczywistością”. W znaczeniu przerosnym, „umysł Boga” jest identyczny z jego istotą. Ale w znaczeniu ścisłym, Boga nie można nazwać „absolutną zgodnością rozumu z rzeczywistością” czy „poznania z rzeczywistością”, bo to byłoby nie miało sensu. Tak je mówię o Bogu nie należy Go nazywać Prawdą w znaczeniu filozoficznym.

Bóg jawi się nam jako absolutny byt, a więc jako poznawalny przez rozum, jako Dobro i Piękno jako rzeczywistość i piękno. Dobro w Bogu są identycznymi i ich różniczenia również nie będzie ścisłe. Poza tym Bóg jawi się nam, w poznaniu swoim takim, jakim pierwszą przyczyną i ostatecznym celem wszelkiego bytu.

## POWROTNA FALA SCJENTYZMU

(Dokończenie ze str. 1)

Ważymy się twierdzić, że jest on nieomylnym, nieczym więcej jak aktem wiary”) i jasnowidzenie zostają potwierdzone doświadczalnie, którym i czego absolutnie zarzucenie nie można z punktu widzenia naukowości nawet wymagać nauk przyrodniczych.

Zjawiska te, podobnie jak wyczynnych jogów wykazujące, jak dalece wola człowieka pałowac może nad jego o ciałem, a wreszcie nie dające się zaprzeczyć cudowne uzdrowienia w Lourdes, lub cud słońca Faltimy zgodnie wskazują na to, że istnieją na świecie zjawiska nie poddające się „prawom nauki przyrodniczych”, że więc twierdzenie, jakoby metody nauk przyrodniczych były jedyną drogą poznania, jest sprzeczne z faktami i tym samym musi być odrzucone przez każdego, zdcznego do logicznego wyciągania wniosków z faktów.

### OGANICZENIA METODY PRZYRODNICZEJ

Należy mocno podkreślić, że nauki przyrodnicze nie mówią bynajmniej o przedmiotach rzeczywistych, lecz jedynie o abstrakcyjnych przedmiotach. Wedle przykładu podanego przez Eddingtona, gdy badamy zsiłg słońca po stosu — zwego słońca, z jego rozpaczyliwi problemami zacementowania się o każdy krzaczek, zastępujemy matematyczną fikcją, zwaną masą, a stłk, z jego kępkami krzewów, łąkami i wyojami, dwoma innymi fikcjami matematycznymi, katem spad i współczynnikiem tarcia i tym samym rozwiążemy problem nie rzeczywistego słońca, lecz tylko pewnego jego uogólnienia. Pod rzeczywiste przedmioty nauka podkłada więc obrazy, modele, z pełną świadomością, zacementowaną z nauk nowocześniejszej fizyki, że modele te nie są w stanie wyczerpać całej rzeczywistości, lecz jedynie pewną jej część.

Na skutek tego nauka może dawać pełne informacje i konkretne rezultaty w zakresie tych jedynie przedmiotów, które są dostatecznie blisko jej modelem. Jak słusznie mówi F. S. Sherwood (str. 48) „nauka nie może przewidzieć drogi opadającego liścia lub ostatecznego kształtu rosnącego drzewa. Stwarzają jednak proste warunki, w których może ona stosować swe zasady, nauka jest w stanie zbudować samocłód czy samolot, które będą posłuszne tym prawom, w obrębie których nauka umie rachować”. Dzięki tym właśnie ograniczeniom nauka może osiągać tak błyskotliwe rezultaty, imponujące co prawda tłumom, lecz bynajmniej nie wyczerpujące całej rzeczywistości.

Nauka może poznawać jedynie te zjawiska, które można zarejestrować przy pomocy jej instrumentów i które można bądź to dowolnie wywołać w laboratoriach, bądź to przynajmniej regularnie obserwować. Tym samym nauki przyrodnicze nie mogą niczego powiedzieć o zjawiskach duchowych, to bowiem, właśnie na skutek swej duchowości, wymykają się spod obserwacji materialnych narzędzi nauk przyrodniczych, ani też o cudach, skoro są one niepowtarzalne i nie dadzą się wywołać w laboratoriach.

Poszukując wyłącznie związków między zjawiskami, nauki przyrod-

nicze, jak słusznie powiedział Jeans („The Mysterious Universe”, Cambridge, 1937, str. 178) „nie zajmują się tym, czym rzeczy są w swej ostatecznej istocie, lecz jak się one zachowują”. Nie mogą one więc rozstrzygnąć problemów metafizycznych, choć wielu przyrodników w bierze się do nich z tym większym tupetem, im mniej o nich wiedzą. Jaskrawym przykładem może tu być znakomity fizyk, Schroedinger”), który zaskakując w naukach przyrodniczych odpowiedzi na pytanie Plotinusa: „A my, czym my właściwie jesteśmy?” rozwiązanie znajduje... w panteizmie\*\*).

Raczej na odwrót, bez podbudowy metafizycznej wszystkie wnioski nauk przyrodniczych zawierają się w powietrze. Nauki przyrodnicze bowiem mówią o prawach przyrody. Na czym jednak opierają one swe przesładczenie, że prawa te w ogóle istnieją, że są one stałe i niezienne? Jeżeli ma to być, jak sądzi wielu uczonych, wynik doświadczenia, to należy stwierdzić, że doświadczenie to oparte jest na ograniczonym, choć licznym, materiale faktycznym mniej lub więcej niedokładnych obserwacji, a tym samym i jego wartość dowodowa jest ograniczona. Ponadto, wnioskując z przeszłości o przyszłości tym samym zakładamy istnienie prawdziwości w przyrodzie, a więc właśnie te samą tezę, którą staramy się udowodnić. Jest to typowe błędne koło. Jeżeli zaś to ma być postulat, to ile ma on być czymś więcej niż tylko hipotezą roboczą, wymaga on podbudowy metafizycznej, prowadzącej prostą drogą do uznania Pierwszej Przyczyny, Boga. A to z konieczności rzeczy wskazuje na istnienie światła nadprzyrodzonego, niedostępnego naszym zmysłom i naszym instrumentom; tym samym w żadnym wypadku nauki przyrodnicze nie mogą być jedyną drogą poznania, a więc tym mniej jedynym źródłem wskazań, jak należy postępować, jak to z uporem głosi filozof angielski, Bertrand Russel („Present Perplexities”, „The Listener”, z 17. 5. 1951 r.).

Właściwą odpowiedzią na neo-scjentyzm jest więc nie tylko wykazywanie powierzchowności, zotywniej pochoności w wyciąganiu wniosków i często elementarnej niesumienności jego wypowiedzi, ale przede wszystkim zrozumienie jego podstawowych błędów logicznych i epistemologicznych. Między wiedzą a wiarą bowiem sprzeczności nie ma i być nie może. Jak słusznie powiedział Galileo Galilei, jakże często wysuwany przez wrogów w religii przeciw Kościołowi, „Bóg zarówno objawił człowiekowi swe prawa, jak i dał mu rozum do poznawania przyrody; między tymi więc dwoma źródłami poznania nie może być sprzeczności”.

Observując zmieniające się nieustannie, niby w kalejdoskopie, teorie i hipotezy nauk przyrodniczych i porównując je z wiecznymi Prawdami Bożymi musimy zrozumieć, że kto wierzy, ten wie, kto zaś jedynie odpowiedzi szuka wyłącznie w tym, co postrzegają zmysły i rejestrują jego przyrządy, ten się tylko domyśla.

Tadeusz Felsztyn

\*) Science and Humanism”, str. 4.

\*\*) „What Is Life”, Cambridge, 1951, str. 89 i nast.

Łączę wyrazy poważania,  
BOLESŁAW TABORSKI

Wreszcie, dla porządku, ostatnia uwaga. To, że „aby czegoś pojąć, coś kochać, trzeba najpierw poznać to, widzieć to i tym” to prawda, ale tego żąda raczej epistemologia a nie logika. Problem sam przez się nie dotyczy logiki poznania, a nie do logiki (jakkolwiek niewątpliwie logika z epistemologią stanowią pewną całość).

Tych kilka uwag, myślę, warto było zrobić, ponieważ zagadnienia poznania są bardzo trudne i w sprawie nieścisłości terminologicznej, że już używamy terminologii filozoficznej, mogą łatwo spowodować zamieszanie, temo: i niejednokrotnie nieemożliwie jasne rozumienie problemów.

Łączę wyrazy poważania,  
ROMAN JASIECZYŃSKI

### WIZYTA MIKOŁAJA I W WATYKANIE

Szanowny Panie Redaktorze!

Hardzo wdzięczny jestem p. Stefanowi Biednemu za sprostowanie nieścisłości w twierdzeniu dotyczącym wizyty Mikołaja I w Watykanie, w moim artykule o „Katolicyzmie Słowackiego”. Nadmiar pracy w okresie pisania artykułu nie pozwolił mi na udanie się do Londynu i sprawdzenie tej referencji, którą miałem w swoich notatkach.

Jednocześnie chciałbym sprostować dwa przeoczenia, jakie zakradły się do artykułu. W pierwszej części artykułu (ŻYCIE 27/263,

Dr Tadeusz Felsztyn  
WIEDZA i WIARA  
w świetle nowoczesnych poglądów filozoficznych  
Str. 42. — Cena 6 d.

ZMIERZCH MATERIALIZMU  
w naukach przyrodniczych  
Nowość  
Str. 53. — Cena 3/6  
Przy przesyłce doliczamy 3 d.